

Polacy na barykadach Października

KAROL KADŁUBOWSKI pochodził ze wsi Zaremby w powiecie łomżyńskim. Z zawodu był szewcem. W 1905 roku na fali rewolucyjnej wstępuje do Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy. Dzieli los wielu rewolucjonistów: aresztowania, więzienia, zsyłki.

Jak znalazł się na barykadach Października? Jego los był typowy dla mieszkańców Kongresówki. Przed nadciągającymi wojskami niemieckimi zostaje ewakuowany do Piotrogradu. Tu pracuje jako listonosz. Przyłączając się do bolszewików, działa wśród pocztowców. Ci wybierają go na swego przewodniczącego.

W październiku 1917 roku wraz z Lubowiczem i Pestkowskim dostają zadanie przejęcia kontroli nad piotrogrodzkim telegrafem. Nie było to takie łatwe. Do ochrony telegrafu wcześniej zostali skierowani żołnierze kęks-holmskiego pułku gwardii, a następnie oddział junkrów. Opowiadali się oni za rządem Kiereńskiego.

Wtedy Kadłubowski, Pestkowski i Lubowicz postanowili wystawić strajkujących na widok publiczny. Na czym to polegało? U wejścia do telegrafu wywiesili ogłoszenie, w którym powiadamiali, że je-

Nie darzył także sympatią nowo mianowanego komisarza pracujący w telegrafie członek Komitetu Centralnego Związku Zawodowego Pocztowców — Siemionow.

— A wy tu po co? — spytał szorstko Kadłubowski.

— Jestem komisarzem, skierował mnie tu Komitet Wojskowo-Rewolucyjny.

— Nie uznaję was jako komisarza.

— Nic mnie to nie obchodzi — odpowiadał spokojnie Kadłubowski — że nie uznajecie wykonanie polecenia Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego, a nie wasze.

— Złóżcie do KC na was skargę za naruszenie dyscypliny związkowej.

— Trudno. Przeżyjcie i to.

Siemionow dotrzymał słowa. Wkrótce Kadłubowskiemu usunięto ze związku pocztowców. Ale telegraf pracował bez przerwy. Ataki junkrów zostały odparte. Do komisarza z nieufnością odnosili się jednak pracownicy piotrogrodzkiego telegrafu i stacji telefonów. Mimo agitacji porzucili pracę i unieruchomili telegraf. Ze Smoleńsk skierowano im do pomocy marynarzy-te-



„Ulica Morska w pobliżu telefonów została zamknięta dla ruchu, okna w stacji telefonów były wybite i od frontu, i od środka, pod łukiem i na

domo, co w tych gorących i rozstrzygających dniach zna- czyła sprawną łączność. Do- szło do burzliwego wcięcia. Kadłubowski próbował porozu- mieć się z kierownictwem stacji telefonów i jej załogą. Ale do tego nie doszło. Kierownik stacji, eserowiec Bas odwołał się do Dumy Miejskiej, a ta zażądała przekazania jej przez komisarzy tele- fonów. Ci jednak nie mogli się na to zgodzić, ponieważ dobrze wiedzieli, czym to gro- ziło.

Z Komitetu Wojskowo-Re- wolucyjnego przysłano im do pomocy żołnierzy — telefoni- stów. Również część załogi postanowiła podjąć robotę. Z Moskwy przysłano trzydziestu doświadczonych telefonistek. Mimo strajku, sabotażu i dy- wersji — telegraf i telefon w rewolucyjnym Piotrogr- dzie pracowały. Za ich po- średnictwem można było wy- słać w głąb Rosji teksty

dzy komisarzy ludowych. 28 października w ministerstwie proklamowano strajk. Za jego ogłoszeniem opowiedziało się 340 pracowników, przeciw tyl- ko 5.

W tej sytuacji komisarz lu- dowy poczt i telegrafu Awil- ow demonstracyjnie opuścił zebranie pracowników mini- sterstwa, oznajmiając im u- przednio:

— Proszę o natychmiastowe złożenie oświadczeń pisem- nych, kto uznaje, a kto nie uz- naje mnie jako komisarza lu- dowego.

W międzyczasie marynarze opowiali gmach minister- stwa. Awilow zwołał następ- nie z pracy tych wszystkich, którzy nie uznali władzy ko- misarzy ludowych. W mini- sterstwie pozostało tylko 88 lu- jalnych urzędników. 30 paź- dziernika przy komisarzy lu- dowych poczt i telegrafu ut- worzono kolegium. W jego

i żona naprzykrzała się: idź, idź — mówiła — co tak nie nie robisz? I oto jestem do waszej dyspozycji.

— Czy macie coś przeciwko władzy radzieckiej?

— Boże uchroni, coż mo- gę mieć. Nigdy nie miesza- m się do polityki. Praca pochla- niała cały mój czas, a wolne chwile poświęcałem dzieciom. Mam liczną rodzinę.

— Jakże stanowisko chcecie otrzymać i jakie wynagrodze- nie?

— Co łaska, panowie, co ła- ska — znów się kłania.

— Ależ, towarzyszu — wsty- dzi go Kadłubowski — po- rzucicie ten zwyczaj ciągłego kłaniania się. Jesteśmy takimi samymi pracownikami, jak i wy. To wszystko stare, nie- potrzebne.

— Nie mogę — odpowiada urzędniczym grzeczny głosem.

A oto rozmowa Kadłubow- skiego ze starym eserowcem.

— Wiedzę dobrze, że zawsze byłem człowiekiem uczciwym. Stale twierdziłem, że bolsze- wizm się nie powiedzie. I te- raz tak twierdzę.

— Więc dlaczego przycho- dzicie, by pracować wraz z nami?

— Zostałem zwyciężony, lecz nie przekonany.

— Co w takim razie może nam gwarantować, że nie be- dziecie działać na szkodę władzy radzieckiej?

— Nie jestem zdolny do szkodniczej działalności. Pod- piszę zobowiązanie, że nie wezmę udziału w manifesta- cjach politycznych.

I zwyciężony, ale nie prze- konany eserowiec złożył pod- pis. Wkrótce i on mógł pod- jąć pracę w komisariacie poczt i telegrafu. Niebawem komisarz ludowy Awilow wy- dał oświadczenie, że wszyscy nie- zdecydowani pracownicy poczt i telegrafu w kraju. O- to jej treść: „Wybierając się, z nami — i tracie jedynie o- kazy. Przeciwno nam — i zyskując gorącą nienawiść proletariatu. Ale czy z wami, czy też bez was — telegraf i poczta pozostaną w rękę re- wolucji i rewolucja czekać nie będzie”.

Bo rzeczywiście — rewolu- cja nigdy nie może czekać.

STANISŁAW ŚWIERAD

Zdobyty telegraf

schodach mnóstwo wszelkich śmieci.”

— Ale nie zniszczenia może były najgorsze, tylko postawa pracowników, agitowanych przez mieniszewskich i eserowskich związkowców. „Tele- fonistki nie pracowały — pi- sał po latach Kadłubowski — niektóre płakały, prawie wszy- stkie podchodziły do mnie i oświadczały, że pracować nie będą, gdyż nie mogą pogodzić się z nowym reżimem. Czyli miały chęć, zastosoować sabo- taż, jedne — świadomie, inne — nieświadomie. Mechanicy zgłosili gotowość podjęcia pra- cy, ale oznajmili, że telefo- nistki prawdopodobnie nie ze- chcą przystąpić do swojej ro- boty. Na schodach, w koryta- rzach w pomieszczeniach z a- paraturą panował hałas, krzy- ki, wrzaski. Wszystko to wy- tworzyło powszechny bałagan i zorientować się w tym chao- sie było początkowo niezmier- nie trudne.”

Przez pewien czas stacja te- lefonów nie pracowała. Było to groźne dla rewolucji. Wia-

pierwszych dekretych władzy radzieckiej. W mieście i z- krajem prawie nieprzerwanie utrzymywano łączność.

— Ale po telegrafie i telefo- nach przyszła kolej na Mini- sterstwo Poczt i Telegrafu — które „stało się ostoją żubrów kontrewolucyjnych”. W ostat- nich dniach października 1917 roku, kiedy ważyły się losy re- wolucji i Rosji, pracą mini- sterstwa kierowała trzysoso- bowa komisja tymczasowa, która w porozumieniu z ugo- dą w komisji Zawodowców KC Związku Zawodow- ego Łączności „prowadziła za- jadła walkę przeciwko bol- szewizmowi, wywołując pod- jęcie akcji sabotażowej i strajkowej przeciwko władzy radzieckiej.”

Urzędnicy ministerstwa nie uznawali komisarzem ludow- ym poczt i telegrafu N.P. Awilowa — Główną wyzna- czonego przez II Wszechro- syjski Zjazd Rad. Popierali ich w tym prawicowi związ- kowcy. Na zebraniu kierowni- ków departamentów podjęto uchwałę o nieuznaniu wia-

składzie znalazł się również Karol Kadłubowski.

— Ale to radykalne rozwią- zanie Awilowa miało tylko cha- rakter donajdy. Wkrótce tra- ba było myśleć o zwierzbo- waniu nowych pracowników. To zadanie zlecił komisarz lu- dowy Awilow właśnie Kadłubowskiemu, a ten z kolei u- tworzył dwie komisje, które rozpatrywały kwalifikacje za- wodowe i postawy polityczne kandydatów na nowych urzę- dników. Było wśród nich wielu tych, którzy przystąpili do strajku i bojkotu.

Kadłubowski w swych wspomnieniach odtworzył przebieg niektórych tych roz- mów. Oto zgłasza się stary służbista, czterdziści lat pra- cy w ministerstwie, przywią- zany do ministerstwa, przywią- zany do niego. Przybywa, kła- nia się nisko, nisko...

— Przyszedłem do pracy, panowie...

— Co was skłoniło do tego?

— Przyzwyczajenie, przy- zwyczajenie. Nie mogę wy- trzymać bez pracy. Dawno już miałem zamiar przyjść, a

ki dopingu. Leci seria regio- nalnych dowcipów. No więc w S. jeździł się na lisy opo- nach, bo bieżnikowany bywa tylko asfalt; Czarna Hańcza taka wąska, że jak się dwie ryby mijają, to jedna musi wychodzić na brzeg, w kość- cie w S. słucha się kazań na leżąco, bo ksiądz ma bar- dzo niski głos...

Przerwywniki robią swoje. Otrząsamy się ze znużenia. Jest godzina 2.30. Wracą ko- misja skrutacyjna. Mamy no- wy skład Zarządu Głównego. Główny Komisji Rewizyjnej i Naczelny Sąd Dziennikarski. Nie trzeba będzie powtarzać wyborów.

Wyniki są zaskakujące. War- szawscy oddali sporo miejsc we władzach na korzyść tzw. terenu, jeśli Katowice, Kraków, Wrocław czy Gdańsk można tak w ogóle nazwać. Odpadło wielu znanych publicystów i

rzeczyszy z „Gazety Krakow- skiej”; chcieliśmy prosić, żeby przestał udawać idiotów, traktując historię Polski jak dodatk do salaty. Tu przy- kład Konstytucji 3 Maja, który znacznie łatwiej odnaleźć w dziełach Marksa niż we współczesnych almanach rocz- nicowych. I jeszcze o Ko- ściuszcze, który gdzieś z nieba przysiadł się ze zgrozą dzi- siejszym propagandowym i publicystycznym niedostatk- kom w hołubieniu chlubnych tradycji (odpór zadowolonych ze status quo: „Włecie, prasa partyjna, a wy mi tu z jakimś niebem wyjeżdżacie”).

I tak krok po kroku rozla- dowujemy akumulatory. Za- gorszyło się już nie rozla- duję. Zrezygnowałem z głosu „przecież w tej chwili nikt już nie słucha, po co będę strzelił język?”

Mamy nowe władze. How- zan jest prezesem, a Marian Podkowski — prezesem ho- norowym i cichym bohaterem Zjazdu. Rzec by można, że jego kandydatura przyjęta została przez wszystkich z aplauzem, czego nie można powiedzieć o innych, bardziej kontrowersyjnych.

W sali już inni przedstawie- cie najwyższych władz pań- stwowych. Przybywa Woj- ciech Jaruzelski. Słuchamy jego wystąpienia jak zapo- wiedz przyszłości. Wszakże widać, że w tym momencie prze- mian w kraju i radykalizacji decyzji gospodarczych. Wkrótce sfor- mujemy własne stanowisko w sprawie II etapu reformy, przynajmniej uchwalę i kilka końcowych postanowień.

Temperatura opada, nastro- je smętne. Szczeciński dziennikarz przypomina z try- buni przykry fakt: nasz za- wód schorowany jest jak rzadko żyje. Stresy, nerwi- ce i ich przykre konsekwen- cje w postaci bogatego wybo- ru zawodowych dolegliwości, stanowią dziś element profe- sjonalnego ryzyka. Z 10 repo- rterów ze Szczecina zmarłych w trakcie minionej kadencji tylko jeden dożył wieku eme- rytalnego.

Wspominamy początek ob- rad. Długą listę ponad 400 koleżanek i kolegów (spośród 10 tysięcy polskich dziennika- rzy), którzy zmarli w ciągu ostatnich 4 lat. Nie do śmie- chu nam było, ale w tym kontekście z ubawieniem przy- jęliśmy rozważania o wpro- wadzeniu nagrody po 45 la- tach pracy w zawodzie do którego przyszedł się naj- częściej w wieku 28–30 lat, a który razem ze światem opuszcza się zwykle znacznie przed sześćdziesiątką.

Czy poczuć dobrze spełnio- nego obowiązku, o które z różnym powodzeniem zabiega- my, skompensuje niedostatek, których świadomość zawie- dliśmy na Zjazd, by znaleźć tam jej pełne potwierdzenie?

ANDRZEJ POLAKOWSKI

Sanitariusz społecznego życia

Ciąg dalszy ze str. 1

Krystyna Goldbergowej oraz „Fakt i jego tajemnice” Ro- mualda Karasia. Ten ostatni referat w podsumowaniu ob- rad został oceniony przez prof. Halinę Janaszkę-Iwanicką z Polskiej Akademii Nauk jako wystąpienie wiary, miłości i nadziei, że przy pomocy lite- ratury fakt można zmienić rzeczywistość. Wszak to już Egon Erwin Kisch stworzył o- kreślenie reportażu jako „Ju- stra przechadzającego się po świecie”, a wiceprezes ZG ZLP, znany reporter, poeta i pisarz — Zygmunt Wójcik inościaną przez mnie na okoliczność sensu organizowa- nia podobnych spotkań powie- dział:

— Wyswiliśmy z założenia, że literatura fakt jest „sanita- riuszem życia społecznego”. Bo nie tylko opisuje, ale stano- wi także pewną terapię, sygnalizując aktualne problemy, jakimi żyje społeczeństwo. Za- dzierżnięte tu przyjaźnie na- leży widzieć z perspektywy, jako sposób na rozwój repo- rtażu. Dla nas, jako inicjato- rów, jest to element podnie- ty, by kontynuować takie działania i wspierać je.

Nie będzie jednak sprawą prostą promocja książki repo- rterskiej, póki — dla jej ogol- nej kondycji — nie przyniosą rezultatu działania kompleks- owego, włącznie z etapem osta- tycznym, jaki stanowią księ- garnie. O toż Krystyna Gold- bergowa, długoletni edytor i mecenas wspinających się na Parnas reporterów ocenia tę kondycję jako bardzo niedo- brą. Mimo iż reportaż w Pol- sce uzyskał nobilitację spo- łeczną już przed dwudziesto- ma laty, to obecnie są ogrom- ne problemy ze sprzedażą ksi- żek, poza „Ekspresem repo- rterskim”. Wynika to z braku pro- mocii przez wydawców oraz bardzo trudnych kontaktów z księgarzami, którzy zamawia-

nasze Sympozjum post- coroczne międzynarodowe spotkania oraz utwor- stałe międzynarodowej porozumiewawczej literatury fakt.

Co możemy zrobić nawli się zebrani — na- wspólnie wojennej, szego porozumienia, oży- i utrwalenia kontaktów ile reprezentacja gości na- niecznych jest widna p- kroki w swoich krajach realizacji tych celów. Zwa- Radziecki reprezentowali



Zatrzymane w kadrze: szard Wójcik.

Siergiej Borowikow, red- naczelnik saratowskiego o- pisma „Wolga” oraz Knut Ut, naczelnik „Tal- którego stwierdzenie: „To do encyklopedii jest zwro- do faktu” upowszechni- na konferencji. „Zwyk- waszego kraju stara milo- powiedział estoński rep- — Przejechałem Polskę Wrocławiu po Białowie- Krakowa po Gdańsk, a- tatem dwumiesięcznej- drówki reporterskiej re- dwudziestu laty była ka- pt. „Polska — tysią- młodzieńców”. Myślę, że międzynarodowa wymiana- świadczeń powinna przy- pozytywne rezultaty. S- obserwację przekaze- na wydawcom literatury fak-

Landolf Scherzer z mieszkaniec niewielkiej w Turyni od piętnastu- obchodził się bez etatu- członkiem Zarządu Zwa- Literatów NRD i przezo- czącym Klubu Litera- Faktu. Wydał sześć ksiąg- porterskich, siódma pt. „W- wszy” jest w druku. — im kraju — mówi — w- ostatnich lat literatura z- zyskała wielu czyteln- Związane jest to z ogra- niem zaufania do litera- fikcyjnej. Od reportażu- czeka się — pokazuje- prawdy. W prasie NRD- skiej nie porusza się o- problematycznych, więc- gor muszą wypełnić ka- Jeżeli chodzi o Sympoz- za najważniejszy spo- fakt, że mogli się tu s- ludzie zabijający się re- zem. Nie będzie to m- miało sensu w przysz- jeżeli zawsze będziemy za- nać od początku.

Również Pavel Dvorak Bratysław, autor książki- porterskiej o najdawniej- historii stwierdził, że- pierwszy, bardzo ważny- powinien być kontynuow- Wyraził też nadzieję, że- i Słowacy wesprą polsk- cjalny.

— Jesienią br. — po- dział naczelnik redaktor- „trastów” DIONIZY SIO- SKI — odbędzie się ko- rencia porozumiewawcz- rządów głównych zwia- pisarzy krajów socjalis- nych, na której zo- przedstawiona do akcep- propozycja powołania d- zymarodowej rady po- miawawczej klubów litera- fakt i odbierania o rola- innym kraju sympozjum- święconego literaturze fa-

Na zakończenie Sympo- jego uczestnicy spotkali- sekretarzem KW PZPR- Białostoku — WŁODZIM- RZEM KOŁODZIEJUKU- przewodniczącym WRN- prof. MARIANEM SZAMA- WICZEM i wojewodą M- RIANEM GAŁĄ.

KRYSZYNA KONEC- Fot. A. Chom



Tutaj pomysły kupuje się na pniu. Od lewej: M- Rymuszek, Helena Kowalik i Janusz Roszko.

Tropy historii

W KWIEŹNIU br. Rada Ministrów Ukrainiejskiej SRR podjęła uchwałę „O upamiętnieniu miejsc znajdujących się na terytorium Ukrainiejskiej SRR, związanych z działalnością wybitnych pol- skich rewolucjonistów oraz działaczy nauki i kultury”. Decyzja ta jest praktyczną realizacją polsko-radzieckich uzgodnień zawartych w „De- klaracji o współpracy w dzie- dzinie ideologii, nauki i kultu- ry” podpisaną w br. przez Wojciecha Jaruzelskiego oraz Michała Gorbaczewa.

Pamięć o działalności wybit- nych Polaków na obecnym te- rytoryum Ukrainiejskiej SRR widoczna jest w wielu wypad- kach w nazwach miast, ulic i placów, w gromadzonych w muzeach obiektach oraz w ist- niejących pomnikach i tabli- cach pamiątkowych. Równo- cześnie jednak wiele miejsc związanych z polskimi rewolu- cjonistami, naukowcami, twórcami oraz żołnierzami o- statniej wojny nie zostało je- szcze upamiętnionych. Uwzględ- niająca propozycja polskie ob- ecna decyzja władz ukraiń- skich wypełnia te białe plamy.

Zaplanowano m.in. wmurowa- nie w Krzemieńcu na bu- dynku byłego gimnazjum ta- blicy upamiętniającej pobyt w tym mieście H. Koliataja, J. Lelwela, T. Hilarowskiego i S. Worela. We wsi Stablów — w obwodzie czerkaskim — utworzone zostanie Muzeum A. Mickiewicza w domu, w którym mieszkał poeta.

Na Cmentarzu Łyczakow- skim we Lwowie uporządko- wano groby powstańców z 1863 r., a mogiły S. Banacha, S. Gosczyńskiego, A. Grot- tgera, G. Zapolskiej i M. Ko- nopnickiej zostaną odrestaurowane. We wsi Huta (dawniej: Huta Stefańska) odsłonięto zo- stanę pomnik poświęcony Po- lakom — mieszkańcom tej wsi pomordowanym przez hitle- rowców i ukraińskich nacio- nalistów w 1943 r. W mieście, w którym w 1941 r. hitlerow- cy zamordowali polskich i u- kraińskich naukowców — pro- fesorów Uniwersytetu im. Ja- na Kazimierza we Lwowie, wmurowana zostanie tablica pamiątkowa.

Upamiętnione zostaną rów- nież miejsca: formowania się I Korpusu Pancernego Ludo- wego Wojska Polskiego w Bercydzie oraz innych jed- nostek polskich w mieście Su- my.

A tak poza protokołem... Zjazd przypomina wielki tygiel sukcesów i nieudacznosci, chwalebnych poczynañ i bezradnego chciejstwa.

Dwudniowy maraton II Zjazdu SD PRL startuje rankiem 1 września. Wstępne wrażenia, notatki, horoskopy. Chwile rozkoja- reń, pozdrawiania kolegów i porządkowych głosowań, na których trudno skoncentrować uwagę. Gdyby ktoś dowiecnił postawił wów- czas wniosek o odwołaniu Zjazdu, akceptowalibyśmy go zapewne zachowując pełną nieświadomość tego, co czynimy.

Lista chętnych do zabrania głosu pęcznieje niepokojąco szybko. Jeszcze nie przypusz- czamy, że czwartek skończy nam się w sali obrad prawie trzy godziny po północy. Przy- bywają przedstawiciele „naj- wyższych władz z pierwszym garniturem politycznym i ad- ministracyjnym w Rozbie przekonywują o tym, że dzie- ją się tu sprawy ważne.

Dotychczasowy prezes, Kle- mens Krzyżgórski cierpliwie punktuje z mównicy sukcesy i niedostatek minionej kaden- cji. Padają uwagi na temat nie najlepszej kondycji dzien- nikarskiej profesji w aspek- cie coraz trudniejszych zadań informacyjnych i propagand- owych. O krytycyzmie i rzetel- ności wspomni niebawem re- daktor naczelny „Przeglądu Tygodniowego” Artur How- zan, który jeszcze nie ma po- jeć o tym, że za kilkanaście godzin zasiądzie w najgłę- bszym fotelu organizacji oso- biście nadzorując realizację własnych i cudzych wniosków.

Dniówka wydłuża nam się do nieoczekiwanych rozmiar- ów nie tylko za sprawą dy- skutantów, którzy nagminnie nie mieszczą się w umownych 10 minutach i ploszeni są dźwiękiem szusowego budzi- ka. Wiele czasu absorbują skomplikowana procedura wy- borcza. Bywalec strasza, że nie zdarza się skończyć wy- borów na pierwszym głoso- waniu, a niekiedy nie wystar- czya drugie i trzecie. Przelic- zamy te tury na godziny i zastanawiamy się skąd wy- kraść nadliczbową dobę. Ra- diowiec — Leszek Kubiś ma rację: za dużo na Zjeździe niedoinformowania, gadulstwa i zwykłego bałaganu.

Po południu spostrzegamy nagłe, że frekwencja przenosi się z sali o okolicznych sklepów. Wśród wytrwałych z 252 delegatów (11 nie do- tarło do stolicy) brakuje już takich, którzy nigdzie nie kan- dydują ani nie biorą udziału w pracach organów roboczych. Sama komisja skrutacyjna liczy przecież 21 osób.

Nawet w takich chwilach konsekwencji i zafrasowa- nia nieustanny ruch wokół zjazdowej trybuny. Padają trafne uwagi na temat uro- dzaju rzeczników prasowych, którzy mieli ułatwić dostęp do informacji i wspierać kry- tykę, a na ogół stanowią szczerzy parawan utrudnia- jący reporterską pracę i osia- niający chlebodawców. Przewodniczący białostoc-

kiego Zarządu Oddziału Krzy- żstof Kurianuk mówi o re- gionalnych doświadczeniach w pracy warsztatowej i finan- sowych zmaganiach z pusta- wą kieszorac balaganem ad- ministracyjnym w Zarządzie Głównym. Z jednej strony sali sycząca brawa, z drugiej zaś szeptany komentarz: „Po- cholera mi to Kurianukowe sprawozdanie. Jego pieniądze — niech je zarabia i dzieli, a nam głowy nie zawracaj”. Świątek dziennikarski nie oszczędza nikogo. Gwarzy, rajuje na stronie, protestuje, czasami przeszkadza kolegom,

powierzchnych, błędnych ocen publikatorów, podbudo- wanych jednym nieudanym programem czy chybnym tekstem. Frustracja polskich dziennikarzy miewają i inne uzasadnienie: skuteczność kry- tyki nie poprawia się (Euge- niusz Jabłoński z „Zielonego Sztandaru”: prasowemu hała- sowi po odwołaniu naczelnika w Raczkach nie towarzys- zył odzew władz suwalskich, co traktować można jako wy- raz lekceważenia), sytuacja materialna i warunki pracy nie są korzystne, a trzeba też samokrytycznie stwierdzić, że

z etyką zawodową bywamy czasem na bakier. Przewodniczący stołecznych prasowców Marian Butrym ciągnie wątek prestiżu i ran- gi profesji. Rewelacja ku po- kretaniu serc: respondenci ankiety cenią nas tylko nieco mniej od produkujących pod tym względem nauczycieli, księży i lekarzy. Przyzynek do sa- tysfakcji? W naszym kregu do- tąd tabliczki: „Oddział Bia- łystok” dajemy wyraz zwa- gienia. — Opinie bywają po- wierzchniowe, za to dogłęb- ne i destrukcyjne — animozje, skłócenia, zajadłe acz bez- sensowne polemiki, a także spiecia, nad którymi napraco- wał się Naczelny Sąd Dzien- nikarski pod wodzą Jana Brodzkiego z „Trybuny Ludu”. Przy tym psują krew niepo- radne próby różnych opinio- rozumianych — kontynuuje Butrym — adestacji, restruk- turyzacji, weryfikacji i in- nych „acji”; sprawlają wra- żenie, iż reforma przenika do dziennikarskiego kotła w znie- kładnionej, wypaczonej posta- ci. Pora udowodnić — kończy — że to nieprawda, iż dzien- nikarze wiedzą czego nie chcą, a nie wiedzą czego chcą...

Zaczęliśmy już nocną zmia- nę. Dyskusja toczy się nie- strudzenie, zgłoszeń do zabra- nia głosu wystarczy na kilka zjazdów, oczy się kleją. Wa- rzynek Kłosiński z „GW” aplikuje nam prywatne środ-

Z tamtej strony obrad

z etyką zawodową bywamy czasem na bakier.

Przewodniczący stołecznych prasowców Marian Butrym ciągnie wątek prestiżu i ran- gi profesji. Rewelacja ku po- kretaniu serc: respondenci ankiety cenią nas tylko nieco mniej od produkujących pod tym względem nauczycieli, księży i lekarzy. Przyzynek do sa- tysfakcji? W naszym kregu do- tąd tabliczki: „Oddział Bia- łystok” dajemy wyraz zwa- gienia. — Opinie bywają po- wierzchniowe, za to dogłęb- ne i destrukcyjne — animozje, skłócenia, zajadłe acz bez- sensowne polemiki, a także spiecia, nad którymi napraco- wał się Naczelny Sąd Dzien- nikarski pod wodzą Jana Brodzkiego z „Trybuny Ludu”. Przy tym psują krew niepo- radne próby różnych opinio- rozumianych — kontynuuje Butrym — adestacji, restruk- turyzacji, weryfikacji i in- nych „acji”; sprawlają wra- żenie, iż reforma przenika do dziennikarskiego kotła w znie- kładnionej, wypaczonej posta- ci. Pora udowodnić — kończy — że to nieprawda, iż dzien- nikarze wiedzą czego nie chcą, a nie wiedzą czego chcą...

Zaczęliśmy już nocną zmia- nę. Dyskusja toczy się nie- strudzenie, zgłoszeń do zabra- nia głosu wystarczy na kilka zjazdów, oczy się kleją. Wa- rzynek Kłosiński z „GW” aplikuje nam prywatne środ-

kilka telewizyjnych postaci pisanych przez duże „P”.

My święcimy w swym mi- kroświatku własny triumf. Nastroje znakomite. Jesteśmy jedną bodaj ekipą, która do najwyższych władz Stowarzy- szenia „wprowadziła” wszy- stkich reprezentantów. Przeno- simy się do hotelowego poko- ju, trącemy kielichami, rozla- dowujemy napięcie, gwarzy- my, kalkulujemy, przepowia- damy szanse kandydatów do najwyższych stanowisk, które obsadzone zostaną rano o dziewiątej.

Znajoma sala, zmęczone twarze, początek finału. Sta- szek Zagórski blizszy świe- tła złotą odznaką zastu- piono dla SD PRL. Na mówni- cy zaś blizszy elokwencji entuzjasta rozwoju dokum- entacji prasowej. A jakie są te nasze archiwa, stanowiące nie- zastąpione źródło warsztat- wych informacji? Wystarczy porównanie: w działach do- kumentacji „Prawy” pracu- je 250 osób, a w całej Polsce około 300, bez wsparcia w no- woczesnej technice.

Z trybuny pobrzmiewają dramatyczne nuty od „dla- gdy myśl jest tańsza niż pa- pier” (rzecz o lekceważącym traktowaniu sensownych in- icjatyw) po pełne niepokoju pytania o szanse likwidacji rozwojowych (w tym szkole- niowych) barier. Olgierd Jed-

leż to już zmian (a jakże – na lepsze) przeżywalimy wspólnie z miłośnikami Melpomeny?! Ten sezon również rozbudził nadzieję i – po części – jakby trochę odwzajemniał afekt. Ochota na teatr mierzony skalą ambicji regionu pozostaje.

Porywanie się na rzeczy, z istoty swej wielkie, wywoływać może u niedowiarków pewien rodzaj dezaprobaty. Podejmować się takiego przedsięwzięcia! – Pasować z tak misternym i wyrafinowanym tworzywem!

BYŁO TAK – pamiętam – z IX Symfonia Ludwiga van Beethovena, którą przed kilku laty przygotowywała orkiestra Państwowej Filharmonii w Białymstoku. Jeszcze w trakcie prób zespół odsadzony został od czci i wiary za to, że... No właśnie. Podobnie było z „Hamletem” wyreżyserowanym przez Tadeusza Aleksandrowicza na scenie Teatru Dramatycznego im. A. Węgierki. Puszone się (tak, tak!), że przecież nie dorosiliśmy do tego, by Szekspira zagrozić na dobre na białostockiej scenie. A jednak i na jedno i na drugie ludzie chodzili i – co najważniejsze – klaskali.

Teraz jest „Cud mniemany czyli Krakowiaci i Górale” Wojciecha Bogusławskiego na tej samej, dramatycznej scenie. Z niewiary i wątpliwości wyrósł przedstawienie, które, kto jak kto, ale szeroka publiczność na pewno zaakceptuje i będzie oglądać. Nie zawsze bowiem to co ignoruje krytyka, musi być bagatelizowane przez widza. W tej kwestii zawsze była przecież duża rozbieżność.

Zatem podwyższyć poprzeczkę należy stale i konsekwentnie, choćby nawet ambicje i dobre chęci miały zastąpić niedoskonałość formy.

I dalej! W skali dziesięciopunktowej maksymalną ilość punktów przyznalibyśmy za inicjatywę, po raz pierwszy w Białymstoku przeprowadzoną od początku do końca. Chodzi mianowicie o integrację środowisk kulturalnych. Wszak przedstawienie „Krakowiaców i Górali” realizowane zostało nie tylko przez zespół Teatru im. A. Węgierki, ale także przez Chór Politechniki Białostockiej pod kierownictwem Violety Bieleckiej, Orkiestrę Kameralną pod batutą Mieczysława Szymańskiego, choreografa Wiesława Dąbrowskiego i wielu, wielu innych. I to jest sukces niezaprzeczalny!

„Krakowiaci i Górale” są bowiem przedstawieniem, które wymaga dużego, wszechstronnego uświetnienia zespołu, o sporych umiejętnościach warsztatowych. Chodzi nie tylko o kunszt aktorski, ale także o sztukę śpiewu i tańca. Istotny jest w spektaklu także drugi plan, który, co tu



To się lubi co się ma

ukrywać, jest niedostatkami nie tylko naszej sceny.

Wobec jeśli reżyser – Tadeusz Kozłowski za pomocą sobie tylko wiadomych sposobów potrafił konsekwentnie prowadzić cały zespół i uświadomić każdego z aktorów w przekonaniu, że to co robią jest najistotniejsze – to chwala mu za to.

Przedstawienie miało zatem swój rytm, dynamikę i barwę. Na małej – bądź co bądź – scenie kilkadziesiąt osób było w niustannym i pełnym ruchu. Waleń mogły być także piosenki i arie (a nie tradycyjne ariety) śpiewane przez poszczególnych wykonawców. Scenografia Barbary Stokpi – żeby dopełnić wizualnych spójności – może zbyt dosłowna, lecz nie utrudniająca scenicznego ruchu.

Przedstawienie zachowało charakter śpiewowry, a wysoki nastrój próbowało utrzymać m.in. ekspresyjnym wejściem na widownię koszykierów w łak marszu „Dale, bracia, bez obawy! W imię wielkiej, świętej sprawy...” Efekt owego wej-

ścia wyraźnie osłabiła jednak końcówka, bowiem ci sami koszykierzy dość beładnie wyciągnęli się za kulisy. Sprawilo to wrażenie niedopracowanego epizodu.

Aktorzy grali na miarę swoich możliwości. Trafnie obsadzono Andrzeja Redwana w roli młynarza Bartłomieja, Zenona Jakubka w roli organisty Miechodmucha. Te trzy postacie – jakże charakterystyczne dla całego spektaklu – wyraźnie górowały nad resztą. Zaimponował mi także Bogdan Warchol, który postaci studenta Bardosa nadał wyraz świeżości, ciepła, spontaniczności, ale też inteligentnej młodości przemysłowca.

Ale gdybyż o wizualny kształt przedstawienia tylko chodziło... Gdyby w trwającym ponad dwie i pół godziny spektaklu można było zaobserwować się wyłącznie oglądaniem obrazów... To dobre, co najwyżej, na jeden akt. Potem staje się nudne. Nie wykluczałem, że zdanie widzów będzie całkiem inne.

Mimo całego szacunku dla Bogusławskiego, „Krakowiaci i Górale”

nie są dziś chyba tym tworzywem, które niesie szczególnie ważne przesłania, choćby nawet skrywało skomplikowaną odtwórczość i uzasadnione było wspomnianą wyżej „integracja”. Jest to komedia o intrzydzie ograniczającej się do tylko do rywalizacji Krakowiaców i Górali o dziewczynę, a jeśli niesie jakieś treści patriotyczne i wypunktowane przez reżysera współczesne aluzje (rzucane jakby mimochodem ku widowni) to dzieje się to jednak, mimo wszystko, na obrzeżu spektaklu.

Ale, powie ktoś: jak pogodzić swojskie piętno wodewilu, ludowości, cepeliowski urok wsi Mogiła (dziś czytają: Nowa Huta) z tym, o co tak zabiegamy, czyli intelektualnym przesłaniem. Nie da się?

Cóż tedy robić? Ano „cieszyć się”, bo jeśli nie ma co się lubi, to się lubi co się ma.

LUDMIŁA CHALECKA-POŁOCKA

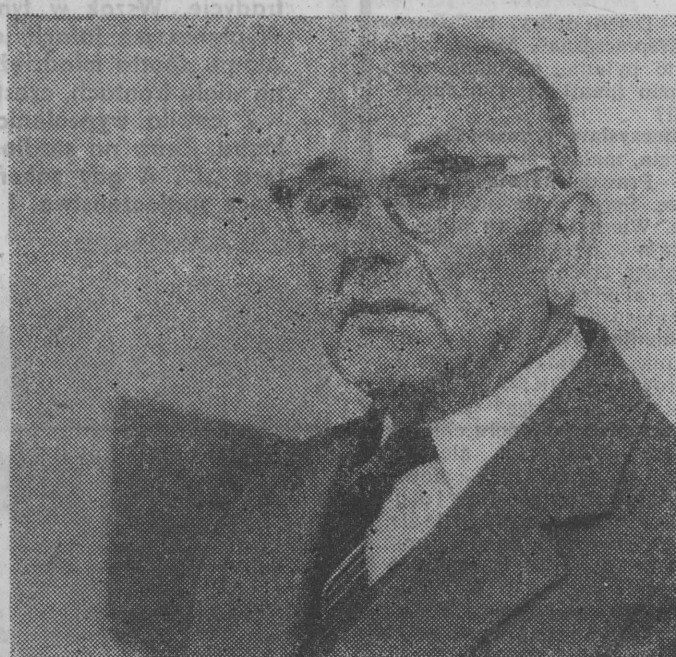
Teatr Dramatyczny im. A. Węgierki. „Cud mniemany czyli Krakowiaci i Górale” W. Bogusławskiego. Reżyseria – Tadeusz Kozłowski. Scenografia – Barbara Stokpi. Kierownictwo muzyczne – Mieczysław Szymański. Choreografia – Wiesław Dąbrowski. Premiera – październik 1987 r.

Na zdjęciach sceny z „Krakowiaców i Górali” W. Bogusławskiego, w reżyserii Tadeusza Kozłowskiego, wystawionych w Teatrze im. A. Węgierki.



Pomysł „Q” Rozmrażanie patentu czyli pracowita emerytura

Pamiętam tę zimę. Naturalnej osłony: śniegu – jak na lekarstwo, mroz – tegi, grunt zamrożony na głębokość półtora metra. Awarie wodociągów spędzają sen z oczu. Woda z brunatną zawiesiną już trzeci raz wytryskuje na Białostocku spod ziemi, zalewa i podmywa osiedlowe tereny, silny prąd ścina z nóg przechodniów, grozi zatopieniem piwnic. Ekipy pogotowia miotają się wokół, całymi godzinami demonstrując swą bezradność. Jak przebieć skorupę, która przy dwudziestu stopniach mrozu nabiera wytrzymałości betonu, by dostać się do uszkodzonych rur?



Sergiusz Antoniuk jest już od 13 lat na emeryturze, ale jakiejś takiej niecodziennej, niespokojnej. Dyktując w białostockich „Wodociągach” przez okragłą czterdziestkę, tkwił tak głęboko w gąszczu spraw przedsiębiorstwa, że później nie tylko nie stracił kontaktu z pracą nowatorską, ale nawet ją rozwinął.

— W zasadzie – powiada – pomysł „metody i urządzenia do rozmrażania gruntu przy pomocy energii elektrycznej” ma swój początek na zebraniu seniorów. Właśnie tak! Przypięty przeciwkościami dyktor KAZIMIERZ KARPOWICZ zwrócił się do nas o pomoc. Wtedy zacząłem myśleć nad dziesiątym już patentem.

Inżynier Antoniuk ma swój sposób na trafne pomysły. Wzrętu literaturę, sięga po zagraniczne rozwiązania, aż poczuje się na siłach, przygotować własne, oryginalne. I tym razem czytał, wypytywał, zapytał, jeździł, korespondował z firmami szwedzkimi, fińskimi, norweskim i radzieckimi. Okazało się, że trafił na twardy orzech. Skandynawowie przysłali co prawda z pół kilograma projektów reklamowych, schematów i opisów, ale z komentarzem, że wszystko to raczej sfera teorii, a nie praktycznych zastosowań.

Ze stacji naukowo-badawczej w Igarze badającej m.in. zamarzanie na Syberii otrzymał wymowną opinię: „Problem odmrażania gruntu stanowi w naszym kraju jedno z najbardziej złożonych i nie rozwiązanych zagadnień”. Jak więc radzą sobie sąsiedzi z miejscowym przygotowaniem powierzchni do zimowych prac ziemnych?

Rozcinając beczki, układając wzdłuż nich połówki jak łupiny i na końcu tego „komina” rozpalać ognisko. W Finlandii obowiązuje podobna, aczkolwiek zmodyfikowana metoda: układa się „namiot” z płyt prefabrykowanych, pod którym kładzie się ciepłe powietrze wlatujące przez dmuchawę. U nas zazwyczaj pali się ognisko, rozgrzewa zgrabiłe ręce, chwytają się kilof albo młot pneumatyczny, by przez chwilę bezskutecznie objąć grunt, znów rozgrzewa się zgrabiłe ręce... Proces trwa dzień – dwa, dokładnie tyle, na ile wystarczy cierpliwości.

Sergiusz Antoniuk sceptycznie zapatruje się na technikę rycia gruntu, o której głośno bywało na sympozjach i konferencjach, ale cicho – jak dotąd – w terenie. Rzecz jest prosta tylko na papierze: wbija się w grunt elektrody i przepuszcza między nimi prąd. Komplikacje zaczyna się w chwili, gdy trzeba wcisnąć owe elementy w skamieniałą bryłę, a jeśli nawet się to uda – rozmrażanie trwa prawie dobę i wyklucza stosowanie pomysłu w przypadku awarii, kiedy czas pogania i wszystko leci z rąk.

— Chodziło mi – przypomina – o szybkość i efektywność pracy. Zbadałem nawet skutki odcięcia dopływu wody w wyniku awarii. Na terenie białostockich Dołż, gdzie nie ma innej możliwości czerpania jej spoza sieci, dwa tylko przedsiębiorstwa: „Las” i „Browar” poniosły straty rzędu 15 mln zł w ciągu jednej zmiany.

A inne zakłady? – ciągnie inż. Antoniuk. – Mieszkańcy? Jakże konsekwencje poniosą pacjenci, gdy placówki służby zdrowia na dłuższy czas pozbawione zostaną wody? Znam trzy dołże do wydajnej pracy: pieniądze, ambicja i strach. W tym przypadku nie było mowy, żeby mnie ktoś poganił kiwaniem po plecach, niewolnikiem też nie jestem, a obowiązek nie miałem szans, ale coś w tym jest, że im trudniejsze stawały się wymagania i okoliczności, tym bardziej frapowało mnie to i wciągało.

Współpraca z Wojewódzkim Przedsiębiorstwem Wodociągów i Kanalizacji okazała się dobrym katalizatorem. Inżynier Antoniuk doszedł do wniosku, że najszybsze rezultaty uzyska odmrażając grunt przy pomocy grzejników, a właściwie grzałek elektrycznych. Do ogrzania wystarczającej powierzchni dwóch metrów kwadratowych (do temperatury minus dwadzieścia do plus dziesięć stopni) potrzeba ich 18. Typowe piece akumulacyjne zawierają takie urządzenia o mocy dwóch kilowatów. Tu potrzebna byłaby zmodyfikowana wersja grzałek trzykilowatowych. Sytuując je w ziemi do głębokości półtora metra w odstępach 30 centymetrów, uzyskalibyśmy niezbędną przyspieszenie: zlodowaciały grunt tajałby w oczach. Jak jednak wbić w ziemię baterię grzałek?

Ta metoda, zwana już białostocką, jest właśnie głównym wątkiem złozonego wynalazku. Polega na drążeniu otworów zimną wodą pod wysokim ciśnieniem. Próba powiedziała się. W ciągu 18 minut miejsce nad symulowaną awarią przypominało plaster sera szwajcarskiego i gotowe było do instalowania sprzętu.

Od tej pory cały problem doprowadzenia koncepcji do skutku sprowadził się do dokonania uzupełniających obliczeń, doboru typowych, krajowych urządzeń i takiej ich adaptacji, by dążyły się zamontować na podwoziu „Jelca”.

Niezbędna była pompa ciśnieniowa. Ta z wozu asenizacyjnego WUKO nie nadaje się do pracy w trudnych warunkach zimowych, toteż wybrano „wysokociśnieniową pompę górniczą” z jednej

ze stoczni fabryk. Z kolei okazało się, że popularny przewoźnik agregat prądowców ma za małą moc do uruchomienia tej pompy. Zdecydowano się więc wykorzystać napęd „Jelca” z przystawką. I tak krok po kroku przybliża się wizja lepszych czasów ekip pogotowia wodociągowego i wszystkich cierpiących z powodu awarii.

Wyobraźnia kreśli to tak: sygnał z miasta uruchamia pojazd z kilkusetobową załogą. Precyzyjna lokalizacja wycieku następuje dość szybko (to już odrębny, także rozwiązywalny problem), chociaż woda nie musi wydostawać się spod skorupy dokładnie nad niebezpiecznym przewodem. Aparat prądowczy uruchamia pompę i w dwa kwadransy gotowe są otwory pod grzałki. Używa się wody dozwolonej na miejsce w zbiorniku zainstalowanym na „Jelcu”. Nie trzeba palić ogniska. W specjalnej kabine na pojeździe stojącej również jako podreczny warsztat i magazyn części oraz narzędzi, można się ogrzać i trochę odpocząć. Po upływie 2,5 godziny trwa już spawanie odsłoniętego, uszkodzonego przewodu.

Zanoszą się na krajową, a nawet światową rewelację (nigdzie dotychczas nie zastosowano podobnych rozwiązań). A przecież mogą być one przydatne w energetyce, telekomunikacji, nawet w budownictwie, że wspomnę o systemie stawiania domów na palach, pod które trzeba drążyć otwory np. na wschodnich terenach Związku Radzieckiego pokrytych wieczną zmarzliną.

Nad prototypowym zestawem urządzeń pomysł inż. Antoniuka pracuje już zespół Zakładu Usług Technicznych przy Wojewódzkim Klubie Techniki i Racjonalizacji w Białymstoku. Gdy koncepcja nabierze kształtu i w przyszłym roku wejdzie do eksploatacji, synpą się zapewne zamówienia z całej Polski, a może i z zagranicy. Urządzenie jest wszak godne uwagi z wielu względów: okazuje się stosunkowo tanie w produkcji i eksploatacji, wydajne, szybkie, łatwe w obsłudze, naprawach i konserwacji, gdyż zawiera wyłącznie krajowe, dostępne podzespoły i części.

A sam pomysł drążenia otworów? Ten ma szansę jeszcze szerszych zastosowań. Może być wykorzystany do usuwania rozmaitych awarii. Dotychczas np. nie wystarczało dnia, by rozmontować niektóre zasuwę w sieci wodociągowej albo hydranty. Przy pomocy „metody” Sergiusza Antoniuka sam proces – trwa teraz do 5 minut i – co istotne – wymaga długotrwałego odcinania rozręczonych rejonów od dopływu wody.

ANDRZEJ POLAKOWSKI

Fot. Zdzisław Zaremba

Gdzie książkę Gedymin

PRZEZ ostatnie 20 lat na restaurację zabytkowej części Wilna wydano 110 mln rubli, za które wyremontowano i przekazano do użytku 147 domów o łącznej powierzchni 200 tys. m kwadr. znajdujących się w obrębie wileńskiej Starówki (obejmuje teren, który w latach 1503–1522 został otoczony murami obronnymi, a powiększono do 255 ha z 1200 budowlami, samo Wilno jest starsze. Prawa Magdeburbskie nadano przed 600 laty, a za datę założenia miasta przyjmuje się 1233 r., kiedy to Wielki Książ Gedymin założył go na wzgórzu, na którym ludzkie osady istniały jeszcze przed naszą erą).

Zgodnie z planem rewitalizacji wileńskiej Starówki ma zostać zakończona do 2000 r. Jest to jednak zadanie przekraczające siły i możliwości litewskich konserwatorów tak ze względu na powód, iż naturalny proces starzenia się budowli jest szybszy niż tempo prac konserwatorskich: aż 388 obiektów, w których mieszka 15 tys. osób jest zagrożonych. Z inicjatywy Wileńskiego Komitetu Miejskiego Partii i innych zainteresowanych urzędów zaproponowano udział w rewitalizacji starego Wilna polskim konserwatorom z PKZ oraz budowlanym z „Budimexu”.

W ubr. wykonali oni prace o wartości 2,2 mln rubli, w br. wartości ta wyniesie już 7 mln rubli, a do końca 5-lecia – 60 mln rubli. Wiele obiektów, przy których pracują polscy specjaliści, aby można było orestaurować, trzeba najpierw... rozebrać w celu usunięcia drewnianych konstrukcji i zastąpienia ich żelbetonowymi.

Polscy konserwatorzy i budowlani pracują m.in. przy XVI-wiecznej budowli mieszczącej obecnie Wileński Instytut Inżynierów Budownictwa oraz b. pałac Radziwiłłów, a także budynek, w którym w XVII w. powstał teatr Bogusławskiego, a w którym znajduje się Muzeum Teatru i Muzyki.

(P)

Nasi specjaliści (w tym białostoccy) podpisują dalsze kontrakty na rewitalizację kolejnych obiektów w Wilnie, na Litwie oraz w innych republikach. Gdyby porzucili prace podjęte w innych krajach i w Polsce i przyjęli wszystkie propozycje w ZSRR, mieliby zapewnioną pracę do co najmniej 2000 r. Obecnie pracują przy historycznych obiektach w Rydze, Carycynie, Moskwie, Tartu, Wilnie i w Tallinie, z którymi podpisane kontrakty z „Instrojem” sięgają właśnie 2000 r.

(P)

gdzie program poszerzono o przedmioty fakultatywne takie jak: wiedza o prawie, elementy informatyki, prope-
deutika filozofii. Ponieważ brakuje z tych dziedzin pod-
ręczników i nauczycieli, więc
wiedza rodziców-ekonomistów,

Nauczyciele niechętnie
widzą rodzicielski wkład w
swoje decyzje, mające okre-
ślone konsekwencje wycho-
wawcze. Rodzice nie buntują
się przeciw temu i najczęściej
nie ingerują w kwestie kon-
fliktowe między nauczycielem
a dzieckiem. Nie chcą się naj-
częściej narażać pedagogom w
obawie o pozycję swego dzie-
cka. Często nie są to obawy
bezpodstawne. Nauczyciele za-
rzucają rodzicom brak peda-
gogicznego przygotowania. O-
czywiście wiedzy nigdy nie za-
wiele. Ale legitymacją rodziców
do wychowawczej pomocy
szkole jest ich życiowe do-
świadczenie, a przede wszyst-
kim intencja działania dla do-
bra dziecka. Warto żeby o tym
pamiętali pedagodzy i pod
tym kątem szukali kandyda-
tów do rodzicielskich komite-
tów.

Nauczycielom i rodzicom
powinno zależeć na zjednocze-
niu wysiłków wychowaw-
czych, skoro jedni i drudzy
mają ciągle za mało czasu dla
dzieci. Komiteły rodzicielskie
z natury rzeczy mogą być
platformą tej współpracy. Nau-
czycielska wiedza pedagogicz-
na i rodzicielskie życiowe do-
świadczenie to uzupełniające
się wartości w trudnym spo-
łecznym zadaniu, które nazy-
wamy wychowaniem młodego
pokolenia.

HALINA SZYPUŁSKA

JEST tajemnicą polisz-
nela, że diabeł nie u nas
jest trudno dozwonić
się na sąsiednią ulicę. Połą-
czenie międzymiastowe uda-
je się tylko nielicznym, pod
warunkiem, że mają dużo czasu
i jeszcze więcej cierpliwo-
ści. Ja na przykład odbieram
u siebie tylko do południa
przebieżnię codziennie kilka-
naście telefonów. Dzwonią lu-
dziska na mój numer do PKP,
PHS, PKS, Cepelli 'td. Czasami
jakiś miły głos pyta: „To ty,
Zygmunt?”... albo: „Kotku,
może wpadnie do ciebie?”...
Czuję wtedy, że mam niepowtarzalną życiową szansę,
lecz wrodzona nieśmiałość
naka uje mi lojalnie sprosto-
wać powstałe nieporozumie-
nie.

mało parlamentarnym epi-
tem pod moim adresem.
I kiedy człowiek zamiast spo-
dziewanej radości doświadcza
tyle udręki z racji posiadania
tej zdobyczy cywilizacyjnej z
końca lat siedemdziesiątych ubie-
giego wieku, zadaje sobie

Teraz ja z kolei dzwonię
pod numer 200 94 (Biuro Na-
praw Telefonów) i pytam się
po obywatelsku, czy nie moż-

na jakoś zaradzić, aby ludzkom
zaoszczędzić czas i pieniądze.
Panienka z wspomnianego
biura żywciele przyznaje, że
jest to teoretycznie i nawet
technicznie możliwe, ale ja
muszę ze swej strony dokład-
nie uprzednio wybać pod
jaki konkretnie numer dzwo-
nić moi niefortunni rozmów-
cy. Próbuje więc zgodnie z su-
gescją przeprowadzić odnośną
ankietę, co często się kończy

Reforma a... obyczaje

Nie ma tego złego...

pytanie, czy aby nie mają ra-
cji ci, którzy urzędowo odpo-
wiadają za rozwój telefoniza-
cji kraju. Mam w końcu to
dobre, przetestowane miejsce
w Europie (za nami jest ty-
ko Albania, która zresztą nie
tylko w tym przypadku osia-
nia nam tyły) i... bardzo do-
bre. Zaręczam, że niejedną z
tych, którzy obecnie wzdycha
do własnego telefonu, powie

ponieważ: nie miała baba
kłopotu, kupiła sobie kozę...
A teraz z innej beczki. Ca-
ły rok ludzie nie tylko furt
wyjeżdżają, że zima ostra i
długa, wiosna późna i chłod-
na, lato krótkie, zimne i de-
szczowe. Kochani, jak miał

taka mroźna zima okazała
się bezsilna wobec salmonel-
li i czerwoni.

A teraz, uwaga! chwila wy-
obraźni. Załóżmy, że mieliby-
śmy lato z temperaturami po-
wyższymi 30 stopni Celsjusza, jak
na ten przykład w Grecji czy
słonecznej Italii. Co, ciernie
nam skóra na samą myśl o
czymś takim? Czy epidemia
czerwoni, która szczęśliwie o-
garnęła tylko pół województwa,
na tym by zakończyła
swoją groźną pochód?...
A więc moja propozycja: nie
narzekajmy, że nie mamy te-
lefonu, że zima ostra i lato
chłodne. Nie ma bowiem tego
złego, co by się na dobre nie
obróciło. I tym optymistycz-
nym akcentem żegnam się do
następnego spotkania.

MARIAN WIŚNIEWSKI

Tatusz
W
komitecie

prawników, filozofów bardzo
się przydaje. Na wagę złota
jest pomoc w organizowaniu
praktyk uczniowskich.

Komiteły rodzicielskie, sku-
tecznie pomagające w załat-
wianiu spraw natury mate-
rialnej i organizacyjnej, mają
ułatwione wejście w inną bar-
dzo ważną sferę współpracy
szkoły z rodzicami – sprawy
wychowawcze. Jest to ogrom-
nie potrzebne i szkole, i dzie-
ciom.

Jednakże ta wychowawcza
współnota jest delikatnej na-



Reforma a... obyczaje

JEST tajemnicą polisz-
nela, że diabeł nie u nas
jest trudno dozwonić
się na sąsiednią ulicę. Połą-
czenie międzymiastowe uda-
je się tylko nielicznym, pod
warunkiem, że mają dużo czasu
i jeszcze więcej cierpliwo-
ści. Ja na przykład odbieram
u siebie tylko do południa
przebieżnię codziennie kilka-
naście telefonów. Dzwonią lu-
dziska na mój numer do PKP,
PHS, PKS, Cepelli 'td. Czasami
jakiś miły głos pyta: „To ty,
Zygmunt?”... albo: „Kotku,
może wpadnie do ciebie?”...
Czuję wtedy, że mam niepowtarzalną życiową szansę,
lecz wrodzona nieśmiałość
naka uje mi lojalnie sprosto-
wać powstałe nieporozumie-
nie.

Nie ma tego złego...

pytanie, czy aby nie mają ra-
cji ci, którzy urzędowo odpo-
wiadają za rozwój telefoniza-
cji kraju. Mam w końcu to
dobre, przetestowane miejsce
w Europie (za nami jest ty-
ko Albania, która zresztą nie
tylko w tym przypadku osia-
nia nam tyły) i... bardzo do-
bre. Zaręczam, że niejedną z
tych, którzy obecnie wzdycha
do własnego telefonu, powie

Reforma a... obyczaje

ponieważ: nie miała baba
kłopotu, kupiła sobie kozę...
A teraz z innej beczki. Ca-
ły rok ludzie nie tylko furt
wyjeżdżają, że zima ostra i
długa, wiosna późna i chłod-
na, lato krótkie, zimne i de-
szczowe. Kochani, jak miał

Nie ma tego złego...

pytanie, czy aby nie mają ra-
cji ci, którzy urzędowo odpo-
wiadają za rozwój telefoniza-
cji kraju. Mam w końcu to
dobre, przetestowane miejsce
w Europie (za nami jest ty-
ko Albania, która zresztą nie
tylko w tym przypadku osia-
nia nam tyły) i... bardzo do-
bre. Zaręczam, że niejedną z
tych, którzy obecnie wzdycha
do własnego telefonu, powie

Proste pytanie

— trudna odpowiedź

(mini-ankieta telefoniczna)

— Dzień dobry, tu „Gazeta Współczesna”. Mam pytanie, a mianowicie: co pan (pani) sądzi o Jagiellonii?

Mieczysław Brzozowski — artysta, malarz ikon:

— Prawdę mówiąc, nie nie sądzę. Sport mnie nie interesuje. Wiem tylko, że piłkarze dostają w tyłek, prawda? Chyba plać fryzjorów w pierwszej lidze, a w ogóle robić się dużo hałasu o nic.

Zbigniew Botuliński — kierownik Ośrodka Szkolenia Kierowców LOK:

— Co ja sądzę? Drużyna nie ma ataku. W polu chłopcy jeszcze jakoś grają, ale pod obcą bramką tracą głowę. Powinni wzmocnić atak i drugą linię, bo inaczej będzie źle. Krótko mówiąc: muszą kupić co najmniej dwóch dobrych zawodników.

Wiesława Syczewska — pracownik Spółdzielni Mieszkaniowej „Zachęta”:

— Mecze Jagiellonii nie wychodzą, bo ja nie chodzę na nie, a nie chodzę, bo Zbyszek mnie na nie nie zabiera. Taką sprawą.

Jan Gabrych — urzędnik — mechanik:

— Przede wszystkim brakuje dobrego bramkarza, a na pastnicy muszą nauczyć się strzelać. Niech się biorą do roboty, bo spadną z ligi. Forę się przecież mają. Po jednym meczu spotkałem kumpla z Poznania. Tamtejsza „Olimpia” wypoczyła autokar z PKS-u, bo im było wstyd, że Jagiellonia ma taki ładny, a oni mają grata!

Anna Radzionkiewicz — nauczycielka:

— Jagiellonia? A co to takiego? Jakis klub sportowy, tak?

Marian Goć — emerytowany kapitan MO (drogówka):

— Drużynie piłkarzy brakuje wiary we własne siły, no i oczywiście obcyca pierwszoligowego. Muszą wykorzystać atut własnego boiska i własnych kibiców. Jeśli to zrobią będą w środku tabeli, jestem spokojny.

Zdzisław Drozdowski — mechanik samochodowy:

— Dziady i tyle. Grać trochę grają, tyle atak słaby i nie ma komu strzelić bramki. Co by tu więcej? Chyba już nie.

Dr Tadeusz Stoberski — naukowiec:

— Byłem dwa razy na meczach Jagiellonii i więcej już nie pójdę. Sądzę o nich, że jeszcze nie dorosli do pierwszej ligi. A może już przerosli? Czasem sprawiają wrażenie, jak by grać im się nie chciało. Osiągnęli jakiś sukces i teraz odpoczywają, siedząc na laurach.

Stefan Gamota — emeryt kolejowy:

— Jagiellonia? Coś z piłki nożna, tak? Ja się tym nie pasjonuję, mnie teraz obchodzi wuneczek a ze sportu — tylko kolarstwo.

Adaś Sosnowski — przedszkolak:

— Jak oni wygrają, to tatuś bardzo się cieszy, a jak przegrają, to zaraz kłóci się z mamą. Mama nie chodzi, mówi że tam nie ma ciekawego, tylko biegają i kopają.

Mgr inż. Eugeniusz Sawicki — dyrektor Wydziału Komunikacji Urzędu Wojewódzkiego w Białymstoku:

— Wektory siły są tylko wypieki głowy.

Inż. Ryszard Gryk — przedsiębiorca prywatny:

— Cudowna drużyna, znakomici chłopcy zawsze będą im kibicować. Sam fakt, że dostali się do I ligi, to ogromna sprawa dla Białegostoku.

Jagiellonia, jagiellończy, jagiellońska — od kilku miesięcy nazwa białostockiego klubu sportowego odnawiana jest w różnych formach nie tylko w naszym regionie, ale w całym kraju. Często przewija się w rozmowach przyjaciół i kibiców spotykających się na ulicach i w kawiarniach, na pierwszych stronach polskich pism sportowych i gazet codziennych. Ba, trafiła nawet do polonijnych pism wydawanych w USA. Popularność Jagiellonii wyszła już poza obręb sportu. Mierzy się ją kryteriami odnoszącymi się do zjawisk społecznych.

Co dziś oznacza Jagiellonia? Czy tylko sport uprawiany przez setki członków zrzeszonych w pięciu sekcjach: dzudo, lekkoatletyki, piłki nożnej, szachów i szermierki? Nie. To także ogrom pracy wychowawczej wielu trenerów, różne akcje na rzecz społeczeństwa, działalność organizatorską, wreszcie największa baza sportowa w mieście. Jagiellonia, to także piękne tradycje. Wszak w tym mieście mija 60 lat od założenia tego klubu. W pierwszych latach jagiellończy budowali obiekty, zachęcali do uprawiania sportu młodzież. Gdy nastał czas wojny chwycili za broń. Walczyli na wielu frontach, często oddając za ojczyznę swe życie.

Z chwilą wyzwolenia przystąpili do odbudowy swego miasta i swego klubu. Znow na stadiony wyszli sportowcy w czarno-białych strojach, z literą „J”. A gdy zakończyli swe sportowe kariery rozpoczynali pracę na rzecz społeczeństwa. I nigdy nie zapominali o swojej Jagiellonii.



Ponad 20 tytułów mistrza Polski zdobyli lekkoatleci Jagiellonii w latach 30. Na zdjęciu: drużynowy wicemistrz Polski — męski zespół Jagiellonii.

Dawny wspomnień czar

Rozmowa z byłym piłkarzem i działaczem sportowym Jagiellonii — KAROLEM KOWALCZYŃSKIM.

— Panie Karolu, czy to pan zakładał Jagiellonię?

— Bez przesady, kolego. Nie mam jeszcze osiemdziesiątki, więc niby kiedy miałbym to zrobić?

— Ale był pan jednym z pierwszych sportowców tego klubu, prawda?

— Co fakt, to fakt. Byłem jednym z pierwszych piłkarzy, stałem na bramce, a także działałem trochę społecznie w zarządzie sekcji piłkarskiej.

— W zarządzie społecznie, a na boisku?

— Panie, o czym pan mówi? Wtedy wystarczało zaszczyt, że się gra w drużynę, za samą grę nikt grosza nie otrzymywał. No, kapitan Buchcik wręczał czasem 5 złotych po meczu. — Idźcie na buzę z chława — powiedział. Sam siedzi ze starszymi do kasyna.

— A drużyna nie z tych rzeczy?

— Sportowcy wtedy nie pili i to wcale nie dlatego, że ktoś im zabraniał. Pić było im honor. Taki, co do kieliszka zaglądał pół godziny nie utrzymałby się w drużynie. Dziwne były czasy, co nie?

— Dziwne. Wspomniał pan o jakimś kapitanie, co? Jagiellonia miała z nim wspólnego?

— Jak to, co? Przez pewien czas była przecież klubem wojskowym. Widział pan, chodziło głównie o pieniądze. Zawodnik pensji nie otrzymywał, ale już wtedy bez pieniędzy nie można było rozwijać sportu. Ja sam chodziłem po prośbie, znaczny zbierałem składki od członków wspierających.

— Wysokie?

— Wysokie? — Złoty był wtedy bardzo cenny. Wtedy było trudno kupić coś drogiego. Wtedy było trudno kupić coś drogiego. Wtedy było trudno kupić coś drogiego.

— Stawki nie było, brało się co łaska. Naczelnik bezpieczeństwa dawał na przykład 400 złotych miesięcznie. Ogromna to była wtedy suma.

— A inni?

— Różnie, hojny był sam prezes Jagiellonii, pułkownik Kawellin. Był to właściciel ziemski, miał swoje posiadłości gdzieś pod Jurówkami i chyba na trasie do Zabudowa. Któregoś razu, pamiętam — wysłał mnie do niego Buchcik, żebyśmy wyciągnęli z niego setki na podróż drużyny, jadąc do Wilna. Zachodził ja do Ritz, do hotelu bo on akurat tam przebywał, mówię portierowi o co chodzi, a on — chwileczkę, zaraz rozeznaję się w sprawie. Poszedł, wraca i w imieniu prezesa na obiad mnie zaprasza. Prezes, powiada, chwilowo zajęty, w karty z redaktorem Dziennika Białostockiego, niejakim Lubkiewiczem. Po raz pierwszy w życiu jadłem wtedy obiad z sześciu dań, a potem prezes przechodził dalej, tysiące i mówi, że kapitan nie musi się z nich rozliczać.

— Dzisiejsi prezesi są mniej szczerzy?

— Panie, oni bose. Frankl! No, ale czasy mamy inne. Jak się Kawellinowi zachciało, zagrać w tenisa z Jadzia Jedrzejewską, to mnie do Warszawy swoim wozem po nią wysłał. I zagrał, ale chyba nie wygrał.

— To było przed wojną, a co po niej?

— Do Białegostoku przyjechałem dopiero w roku 1947 i z miejsca zabrałem się za reaktywowanie Jagiellonii.

— Wiedział pan, jak to robić?

— Zaczynałem od treningów, mama tworzyła atmosferę do znakomitego fechtmistrza — Jerzego Gadkowskiego. Tak rozpoczęła się kariera sportowa obu braci. Walerian Jurka i Zbyszek byli: entuzjazm, szybkość i zdolność do improwizacji, dzięki której rozdzili się na plany sytuacje zaskakujące najbardziej wyrażonych taktycznie mistrzów.

Tata zachęcał do treningów, mama tworzyła atmosferę do znakomitego fechtmistrza — Jerzego Gadkowskiego. Tak rozpoczęła się kariera sportowa obu braci. Walerian Jurka i Zbyszek byli: entuzjazm, szybkość i zdolność do improwizacji, dzięki której rozdzili się na plany sytuacje zaskakujące najbardziej wyrażonych taktycznie mistrzów.

Tata zachęcał do treningów, mama tworzyła atmosferę do znakomitego fechtmistrza — Jerzego Gadkowskiego. Tak rozpoczęła się kariera sportowa obu braci. Walerian Jurka i Zbyszek byli: entuzjazm, szybkość i zdolność do improwizacji, dzięki której rozdzili się na plany sytuacje zaskakujące najbardziej wyrażonych taktycznie mistrzów.

Tata zachęcał do treningów, mama tworzyła atmosferę do znakomitego fechtmistrza — Jerzego Gadkowskiego. Tak rozpoczęła się kariera sportowa obu braci. Walerian Jurka i Zbyszek byli: entuzjazm, szybkość i zdolność do improwizacji, dzięki której rozdzili się na plany sytuacje zaskakujące najbardziej wyrażonych taktycznie mistrzów.

Tata zachęcał do treningów, mama tworzyła atmosferę do znakomitego fechtmistrza — Jerzego Gadkowskiego. Tak rozpoczęła się kariera sportowa obu braci. Walerian Jurka i Zbyszek byli: entuzjazm, szybkość i zdolność do improwizacji, dzięki której rozdzili się na plany sytuacje zaskakujące najbardziej wyrażonych taktycznie mistrzów.

Tata zachęcał do treningów, mama tworzyła atmosferę do znakomitego fechtmistrza — Jerzego Gadkowskiego. Tak rozpoczęła się kariera sportowa obu braci. Walerian Jurka i Zbyszek byli: entuzjazm, szybkość i zdolność do improwizacji, dzięki której rozdzili się na plany sytuacje zaskakujące najbardziej wyrażonych taktycznie mistrzów.

Tata zachęcał do treningów, mama tworzyła atmosferę do znakomitego fechtmistrza — Jerzego Gadkowskiego. Tak rozpoczęła się kariera sportowa obu braci. Walerian Jurka i Zbyszek byli: entuzjazm, szybkość i zdolność do improwizacji, dzięki której rozdzili się na plany sytuacje zaskakujące najbardziej wyrażonych taktycznie mistrzów.

Tata zachęcał do treningów, mama tworzyła atmosferę do znakomitego fechtmistrza — Jerzego Gadkowskiego. Tak rozpoczęła się kariera sportowa obu braci. Walerian Jurka i Zbyszek byli: entuzjazm, szybkość i zdolność do improwizacji, dzięki której rozdzili się na plany sytuacje zaskakujące najbardziej wyrażonych taktycznie mistrzów.

Tata zachęcał do treningów, mama tworzyła atmosferę do znakomitego fechtmistrza — Jerzego Gadkowskiego. Tak rozpoczęła się kariera sportowa obu braci. Walerian Jurka i Zbyszek byli: entuzjazm, szybkość i zdolność do improwizacji, dzięki której rozdzili się na plany sytuacje zaskakujące najbardziej wyrażonych taktycznie mistrzów.

Tata zachęcał do treningów, mama tworzyła atmosferę do znakomitego fechtmistrza — Jerzego Gadkowskiego. Tak rozpoczęła się kariera sportowa obu braci. Walerian Jurka i Zbyszek byli: entuzjazm, szybkość i zdolność do improwizacji, dzięki której rozdzili się na plany sytuacje zaskakujące najbardziej wyrażonych taktycznie mistrzów.

Tata zachęcał do treningów, mama tworzyła atmosferę do znakomitego fechtmistrza — Jerzego Gadkowskiego. Tak rozpoczęła się kariera sportowa obu braci. Walerian Jurka i Zbyszek byli: entuzjazm, szybkość i zdolność do improwizacji, dzięki której rozdzili się na plany sytuacje zaskakujące najbardziej wyrażonych taktycznie mistrzów.

Tata zachęcał do treningów, mama tworzyła atmosferę do znakomitego fechtmistrza — Jerzego Gadkowskiego. Tak rozpoczęła się kariera sportowa obu braci. Walerian Jurka i Zbyszek byli: entuzjazm, szybkość i zdolność do improwizacji, dzięki której rozdzili się na plany sytuacje zaskakujące najbardziej wyrażonych taktycznie mistrzów.

Tata zachęcał do treningów, mama tworzyła atmosferę do znakomitego fechtmistrza — Jerzego Gadkowskiego. Tak rozpoczęła się kariera sportowa obu braci. Walerian Jurka i Zbyszek byli: entuzjazm, szybkość i zdolność do improwizacji, dzięki której rozdzili się na plany sytuacje zaskakujące najbardziej wyrażonych taktycznie mistrzów.

Tata zachęcał do treningów, mama tworzyła atmosferę do znakomitego fechtmistrza — Jerzego Gadkowskiego. Tak rozpoczęła się kariera sportowa obu braci. Walerian Jurka i Zbyszek byli: entuzjazm, szybkość i zdolność do improwizacji, dzięki której rozdzili się na plany sytuacje zaskakujące najbardziej wyrażonych taktycznie mistrzów.

Tata zachęcał do treningów, mama tworzyła atmosferę do znakomitego fechtmistrza — Jerzego Gadkowskiego. Tak rozpoczęła się kariera sportowa obu braci. Walerian Jurka i Zbyszek byli: entuzjazm, szybkość i zdolność do improwizacji, dzięki której rozdzili się na plany sytuacje zaskakujące najbardziej wyrażonych taktycznie mistrzów.

Tata zachęcał do treningów, mama tworzyła atmosferę do znakomitego fechtmistrza — Jerzego Gadkowskiego. Tak rozpoczęła się kariera sportowa obu braci. Walerian Jurka i Zbyszek byli: entuzjazm, szybkość i zdolność do improwizacji, dzięki której rozdzili się na plany sytuacje zaskakujące najbardziej wyrażonych taktycznie mistrzów.

Tata zachęcał do treningów, mama tworzyła atmosferę do znakomitego fechtmistrza — Jerzego Gadkowskiego. Tak rozpoczęła się kariera sportowa obu braci. Walerian Jurka i Zbyszek byli: entuzjazm, szybkość i zdolność do improwizacji, dzięki której rozdzili się na plany sytuacje zaskakujące najbardziej wyrażonych taktycznie mistrzów.

Tata zachęcał do treningów, mama tworzyła atmosferę do znakomitego fechtmistrza — Jerzego Gadkowskiego. Tak rozpoczęła się kariera sportowa obu braci. Walerian Jurka i Zbyszek byli: entuzjazm, szybkość i zdolność do improwizacji, dzięki której rozdzili się na plany sytuacje zaskakujące najbardziej wyrażonych taktycznie mistrzów.

Tata zachęcał do treningów, mama tworzyła atmosferę do znakomitego fechtmistrza — Jerzego Gadkowskiego. Tak rozpoczęła się kariera sportowa obu braci. Walerian Jurka i Zbyszek byli: entuzjazm, szybkość i zdolność do improwizacji, dzięki której rozdzili się na plany sytuacje zaskakujące najbardziej wyrażonych taktycznie mistrzów.

Tata zachęcał do treningów, mama tworzyła atmosferę do znakomitego fechtmistrza — Jerzego Gadkowskiego. Tak rozpoczęła się kariera sportowa obu braci. Walerian Jurka i Zbyszek byli: entuzjazm, szybkość i zdolność do improwizacji, dzięki której rozdzili się na plany sytuacje zaskakujące najbardziej wyrażonych taktycznie mistrzów.

Tata zachęcał do treningów, mama tworzyła atmosferę do znakomitego fechtmistrza — Jerzego Gadkowskiego. Tak rozpoczęła się kariera sportowa obu braci. Walerian Jurka i Zbyszek byli: entuzjazm, szybkość i zdolność do improwizacji, dzięki której rozdzili się na plany sytuacje zaskakujące najbardziej wyrażonych taktycznie mistrzów.

Tata zachęcał do treningów, mama tworzyła atmosferę do znakomitego fechtmistrza — Jerzego Gadkowskiego. Tak rozpoczęła się kariera sportowa obu braci. Walerian Jurka i Zbyszek byli: entuzjazm, szybkość i zdolność do improwizacji, dzięki której rozdzili się na plany sytuacje zaskakujące najbardziej wyrażonych taktycznie mistrzów.

Tata zachęcał do treningów, mama tworzyła atmosferę do znakomitego fechtmistrza — Jerzego Gadkowskiego. Tak rozpoczęła się kariera sportowa obu braci. Walerian Jurka i Zbyszek byli: entuzjazm, szybkość i zdolność do improwizacji, dzięki której rozdzili się na plany sytuacje zaskakujące najbardziej wyrażonych taktycznie mistrzów.

Tata zachęcał do treningów, mama tworzyła atmosferę do znakomitego fechtmistrza — Jerzego Gadkowskiego. Tak rozpoczęła się kariera sportowa obu braci. Walerian Jurka i Zbyszek byli: entuzjazm, szybkość i zdolność do improwizacji, dzięki której rozdzili się na plany sytuacje zaskakujące najbardziej wyrażonych taktycznie mistrzów.

Tata zachęcał do treningów, mama tworzyła atmosferę do znakomitego fechtmistrza — Jerzego Gadkowskiego. Tak rozpoczęła się kariera sportowa obu braci. Walerian Jurka i Zbyszek byli: entuzjazm, szybkość i zdolność do improwizacji, dzięki której rozdzili się na plany sytuacje zaskakujące najbardziej wyrażonych taktycznie mistrzów.

Tata zachęcał do treningów, mama tworzyła atmosferę do znakomitego fechtmistrza — Jerzego Gadkowskiego. Tak rozpoczęła się kariera sportowa obu braci. Walerian Jurka i Zbyszek byli: entuzjazm, szybkość i zdolność do improwizacji, dzięki której rozdzili się na plany sytuacje zaskakujące najbardziej wyrażonych taktycznie mistrzów.



Uwaga, konkurs!

Czy znasz piłkarzy Jagiellonii?

Ogłaszamy nasz jubileuszowy minikonkurs pod hasłem — Czy znasz piłkarzy Jagiellonii, who is who?

1. Lalulnia
2. Lucek
3. Bartek
4. Lis
5. Kulka
6. Gruby
7. Fiedzia
8. Kosa
9. Mały
10. Dziadek
11. Misio
12. Serek

Wśród tych, którzy bezbłędnie rozszyfrują kto się ukrywa pod tymi boiskowymi pseudonimami, zostaną rozlosowane nagrody — upominki klubowe.



Oni rządzą Jagiellonią.

Z okazji jubileuszu 60-lecia Jagiellonii rozmawiamy z jej prezesem — inż. Januszem Szutkiewiczem, dyrektorem Przedsiębiorstwa Instalacji Przemysłowych „Instal” w Białymstoku

Najgorsze co może być — to zostać prezesem

— Pozwoli pan, że naszą rozmowę rozpoczne od tego, co usłyszałem kiedyś wśród działaczy. Najgorsze co może człowieka spotkać, to zostać prezesem Jagiellonii.

— (Śmiech). Trafił pan w dziesiątkę. Doświadczyłem tego na własnej skórze. Działalność sportowa w klubie pochłania wiele czasu. Dzieje się to kosztem rodziny i osobistego życia. Jak są wyniki, to zbieram gratulacje i uznanie. Jestem szanowanym człowiekiem. Jeżeli porażki, to oczywiście winien prezes. Co oni robią, rozliczyć ich. Kłopotów i problemów w codziennym funkcjonowaniu klubu jest co niemiara.

— Największe?

— Brak bazy.

— Nie pieniędzy?

— Z tym sobie jakoś radzimy. Budżet tegoroczny zamknęliśmy się chybą sumą około 150 mln złotych. Dużę pomocy udziela nam Urząd Wojewódzki, aktywna jest Rada Patronacka na czele z wicewojewódzą Aleksandrem Czułem. Mamy już wypróbowanych przyjaciół, którzy nas wspierają. Są to dyrek-

torzy: Edward Gajewski (białostockie Przedsiębiorstwo Instalacji Sanitarnych), Andrzej Piwko („Transbud”), Antoni Bogojło („Przemysłówka”), Tadeusz Jaworowski („Polmozyby”).

— Problem z pieniędzmi zatem odpada, pozostaje sprawa bazy?

— Nie siedzimy beczynnie. Wiosną przyszłego roku oddany zostanie do użytku stadion przy ul. Jurowieckiej, a kilka miesięcy później — trzy płyty treningowe. Przystępujemy do modernizacji hali sportowej. Rozbudowujemy obiekt przy ul. Mickiewicza; znajdzie się tam m.in. mały hotel. Zamierzamy urządzić kilka płyt piłkarskich na Krywanach łącznie z ośrodkiem szkoleniowo-treningowym, gdzie znajdą się gabinety odnowy biologicznej, lekarskiej oraz sale metodyczne i treningowe.

— Rzecz można, że dla futbolu życie zaczęło się po „szesćdziesiątce”, czyli po jubileuszu. A jak wygląda dzień dzisiejszy? Czy piłkarze utrzymują się w I lidze?

— Robimy wszystko, to znaczy piłkarze, szkoleniow-

cy i działacze, aby zespół utrzymał się w ekstraklasie. Zdajemy sobie sprawę z tego, że gdyby Jagiellonia spadła do klasy niższej, to byłby koniec wielkiej piłki nożnej w Białymstoku.

— Czy myślicie o tym, żeby po rundzie jesiennej wzmocnić zespół?

— Tak, dwoma zawodnikami. Ale to jest dopiero w trakcie finalizowania i nie chcę zapeszać.

— Klub o tak bogatych tradycjach ma zapewne oddanych nie tylko kibiców, ale i działaczy.

— Różnie mówi się o nas. Większości działaczy nie mo-

żna odmówić zaangażowania i dobrych chęci. Gdyby wymienić wszystkich, to lista byłaby bardzo długa. Spróbuję przypomnieć najbardziej ofiarnych. W okresie przedwojennym, to przede wszystkim Maksymilian Luderowicz. Po wyzwoleniu wiele pracy i serca w rozwój Jagiellonii włożyli: Karol Kowalczyński, Kazimierz Andrzejewski, Janusz Maśliński, Edward Zaczętnik, Henryk Popko, Leonard Koncowski, Jerzy Gadkowski, Edward Gebauer, Jerzy Plik, Kazimierz Duga, Eugeniusz Prejs, Oskar Liedke, Marek Gierkowski, Andrzej Piwko, Czesław Dymitrak, Leszek Cybulko, Lucjan Chojnowski, Lucjan Małyszewski, Ryszard Zodik, Władysław Radel i Mikołaj Kuklik. Często, kiedy naszym sportowcom się nie wiodło, brali oni na swoje barki niepowodzenia dając ciępliwie do sukcesów.

— Czego należałoby życzyć jubilatce na najbliższą przyszłość?

— Przede wszystkim utrzymania się w I lidze oraz zrealizowania naszych planów w rozbudowie urządzeń sportowych.

— Mało kto w Polsce umie tak strzelać bramki jak Jacek — powiedział o koleźce („Piłka nożna”, nr 16 z 21 kwietnia br.).

— Desygnować do gry debiutanta Jacka Bayera w sytu-

lono całą drużynę, potem pozytywnie zaczęto wyrażać się o poszczególnych zawodnikach. Gwiazda białostockiego zespołu jest 22-letni napastnik. Jacek Bayer, choć pierwszy w kręgu zainteresowań Łazarka znalazł się Jarosław Michalewicz, który podczas zimowego tournée kadry w Belgii strzelił nawet bramkę.

— Po powrocie do kraju Jacek nie zapomniał o swym boiskowym przyjacielu. Sugował dziennikarzem, że nieważne — być może — w reprezentacji znajdzie się drugi zawodnik z Białegostoku i nie pomylił się.

— Mało kto w Polsce umie tak strzelać bramki jak Jacek — powiedział o koleźce („Piłka nożna”, nr 16 z 21 kwietnia br.).

— Desygnować do gry debiutanta Jacka Bayera w sytu-

lono całą drużynę, potem pozytywnie zaczęto wyrażać się o poszczególnych zawodnikach. Gwiazda białostockiego zespołu jest 22-letni napastnik. Jacek Bayer, choć pierwszy w kręgu zainteresowań Łazarka znalazł się Jarosław Michalewicz, który podczas zimowego tournée kadry w Belgii strzelił nawet bramkę.

— Po powrocie do kraju Jacek nie zapomniał o swym boiskowym przyjacielu. Sugował dziennikarzem, że nieważne — być może — w reprezentacji znajdzie się drugi zawodnik z Białegostoku i nie pomylił się.

— Mało kto w Polsce umie tak strzelać bramki jak Jacek — powiedział o koleźce („Piłka nożna”, nr 16 z 21 kwietnia br.).

— Desygnować do gry debiutanta Jacka Bayera w sytu-

lono całą drużynę, potem pozytywnie zaczęto wyrażać się o poszczególnych zawodnikach. Gwiazda białostockiego zespołu jest 22-letni napastnik. Jacek Bayer, choć pierwszy w kręgu zainteresowań Łazarka znalazł się Jarosław Michalewicz, który podczas zimowego tournée kadry w Belgii strzelił nawet bramkę.

— Po powrocie do kraju Jacek nie zapomniał o swym boiskowym przyjacielu. Sugował dziennikarzem, że nieważne — być może — w reprezentacji znajdzie się drugi zawodnik z Białegostoku i nie pomylił się.

— Mało kto w Polsce umie tak strzelać bramki jak Jacek — powiedział o koleźce („Piłka nożna”, nr 16 z 21 kwietnia br.).

— Desygnować do gry debiutanta Jacka Bayera w sytu-

lono całą drużynę, potem pozytywnie zaczęto wyrażać się o poszczególnych zawodnikach. Gwiazda białostockiego zespołu jest 22-letni napastnik. Jacek Bayer, choć pierwszy w kręgu zainteresowań Łazarka znalazł się Jarosław Michalewicz, który podczas zimowego tournée kadry w Belgii strzelił nawet bramkę.

— Po powrocie do kraju Jacek nie zapomniał o swym boiskowym przyjacielu. Sugował dziennikarzem, że nieważne — być może — w reprezentacji znajdzie się drugi zawodnik z Białegostoku i nie pomylił się.

— Mało kto w Polsce umie tak strzelać bramki jak Jacek — powiedział o koleźce („Piłka nożna”, nr 16 z 21 kwietnia br.).

— Desygnować do gry debiutanta Jacka Bayera w sytu-

lono całą drużynę, potem pozytywnie zaczęto wyrażać się o poszczególnych zawodnikach. Gwiazda białostockiego zespołu jest 22-letni napastnik. Jacek Bayer, choć pierwszy w kręgu zainteresowań Łazarka znalazł się Jarosław Michalewicz, który podczas zimowego tournée kadry w Belgii strzelił nawet bramkę.

— Po powrocie do kraju Jacek nie zapomniał o swym boiskowym przyjacielu. Sugował dziennikarzem, że nieważne — być może — w reprezentacji znajdzie się drugi zawodnik z Białegostoku i nie pomylił się.

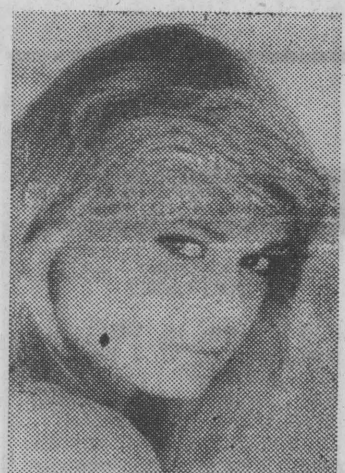
— Mało kto w Polsce umie tak strzelać bramki jak Jacek — powiedział o koleźce („Piłka nożna”, nr 16 z 21 kwietnia br.).

— Desygnować do gry debiutanta Jacka Bayera w sytu-

lono całą drużynę, potem pozytywnie zaczęto wyrażać się o poszczególnych zawodnikach. Gwiazda białostockiego zespołu jest 22-letni napastnik. Jacek Bayer, choć pierwszy w kręgu zainteresowań Łazarka znalazł się Jarosław Michalewicz, który podczas zimowego tournée kadry w Belgii strzelił nawet bramkę.

— Po powrocie do kraju Jacek nie zapomniał o swym boiskowym przyjacielu. Sugował dziennikarzem, że nieważne — być może — w reprezentacji znajdzie się drugi zawodnik z Białegostoku i nie pomylił się.

—



Spójrzcie...

Notki, plotki anegdotki

Po jednym ze swych weekendowych pobytów w pensjonacie w Otwocku, siedząc na łapie w pensjonatowym salonie i chwila się obdymiając podłogami: W zeszłym roku byłymy naokoło świata. Ale w tym roku pojedziemy gdzieś indziej...

Mądry Tristan Bernard radzi: Można się wykroczyć z najbardziej skomplikowanej sytuacji po prostu nie mówiąc. Milczenie zlatwało jeszcze więcej dramatów niż kłamstwo...

Tenże Tristan Bernard wdał się wazkie kłótnię z kimś w dyskurs z doradcą swego domu. Konkretnie, upierając się kłótnię przyswoić zapytał gwałtownie:

— Coż to, uważa mnie pan za idiotę?

— Nie — odpowiedział Tristan Bernard. — Ale przecież mogę się mylić!

Znakomity adwokat warszawski, „złotousty” mecenas Marian Niedzielski z lubością opowiadał historię o wizycie, jaką złożył mu pewien klient, który prosił o zajęcie się jego sprawą. Wyraził nadzieję, że w sądzie mecenas Niedzielski okaże się równie wspaniały jak jego młodszy kolega (dziś bardzo popularny), mecenas Henryk Nowogrodzki, znany klientowi z jakiegoś znakomitego sądowego wystąpienia. Mecenas Nowogrodzki, według relacji klienta, wywołał ogólny zachwyt swą przemową:

— I machał rękami, różne rzeczy mówił, różne numery artykułów kodeksu przytaczał, i w ogóle... — klientowi dech zaparło z zachwytu.

— A sędzia? Co na to sędzia? — rzeczą zapytał mecenas Niedzielski.

— A sędzia — nie. Spal. (Om)



„Gdybym miał milion”

„Jeśli chcesz poczuć się milionerem wyobraź sobie, co mógłbyś zrobić, gdybyś rzeczywiście miał w kieszeni milion” — to rada dziennikarzy amerykańskiego tygodnika „Star” skierowana do swoich czytelników.

A więc na co można wydać milion dolarów? Można sobie zaufundować operację plastyczną w stylu Michaela Jacksona. Za milion nie jedną, lecz 131. Panie-milioniarki mogłyby dzień w dzień przez najbliższe 4 lata fundować sobie i swoim dwóm przyjaciółkom wizytę w gabinecie kosmetycznym, w którym uczesanie ze strzyżeniem

kosztuje 135 dolarów, manicure — 15, pedicure — 30.

Bardziej hojny milioner może urządzić wielkie party na pokładzie transatlantyki „Queen Elisabeth II” za 500.000 dolarów. Drugą połowę miliona można wydać na 1.500 kartonów luksusowego szampa Döfn Perignon, by zaspokoić pragnienie zaproszonych gości.

Można też zapewnić sobie 6-sobistą ochronę — dzienna stawka 300 dolarów — milion starych dolarów na 4 i pół roku i zostałoby jeszcze 500 tysięcy na różne szaleństwa. A dla tych z milionem, którzy wieczną chcą pozostać

młodzi, dziennikarze — pisma „Star” radzą wizytę w Disneylandzie wspólnie z przyjaciółmi — za milion można tam być każdego dnia przez 63 lat.

A jeśli nie innego nie wpadnie do głowy posładcowi miliona to może on po prostu pojeździć taksówką na trasie Nowy Jork — Los Angeles — aż 301 razy.

Można też za milion chodzić do kina z wybranką swego serca codziennie aż do 2261 roku. Albo kupić jej 39 galonów (ok. 175 litrów) perfum Chanel „Coco”, których uncja, czyli 23 gram kosztuje 200 dolarów.

Panowie milionerzy niewątpliwie chętnie pozbiliby się pieniędzy wynajmując piękna i kosztowną modelkę Christie Brinkley, która za dzień pozowania do zdjęć życzy sobie i dostaje 7 i pół tysiąca dolarów. Za milion można byłoby podziwiać jej wdzięki przez 4 i pół miesiąca.

Były to propozycje tylko dla amerykańskich milionerów, bo polscy jak na razie nie mają kłopotów z pozbyciem się miliona — złotych oczywiście.

Opr. ANNA NIŻYŃSKA

Aktor — weteran

Najstarszym aktorem na świecie jest 99-letni Jugosłowianin Zvonimir Rogoz. Cały czas czynny zawodowo występuje obecnie na scenie i oczekuje na rolę w filmie swojego życia. Mówi, że stale pracuje nad sobą i zdaje sobie sprawę, że nie osiągnął jeszcze szczytu kariery. Nie myśli o starzeniu się, ani o śmierci, żyje dniem dzisiejszym i wciąż otrzymuje listy od swoich wielbicieli. Jest ojcem sześciolatniego chłopca i ma 42-letnią bardzo zazdrosną żonę. Nie narzeka na zdrowie, czasem tylko dokucza mu pogarszający się słuch. Zvonimir Rogoz, mający na swoim koncie 25 filmów, urodził się w czasach, gdy kino nie było jeszcze nikomu znane. W 1933 roku zaszkodził Europie rolę w słynnym erotycznym filmie „Ekstaza”. Aktor pamięta każdy film, w którym grał, woli jednak mówić o swojej autobiograficznej książce, którą właśnie skończył pisać i o planach na przyszłość. Ma ich tyle, że jak sam mówi, potrzebuje następnych 99 lat, by je wszystkie zrealizować.

Rogoz twierdzi, że jedyną receptą na wieczną młodość jest małżeństwo z młodą kobietą. Zna aktora, młodszą od niego o 57 lat Agatę, twierdzi, że Zvonimir nigdy nie zachowywał się jak stary człowiek i często ma więcej energii niż ona. Agata przyznaje też, że jest bardzo zazdrosna o swojego męża i kobiety często dostarczają jej powodów do tego. Rogoz dostaje mnóstwo listów od wielbicieli, panie zatrzymują go na ulicy, całują. A kobiety zawsze odrywają dużą rolę w życiu leciwego aktora. Teraz pisze on drugą książkę — o kobietach swojego życia. Będzie to nie tylko spojrzenie w przeszłość, ale jednocześnie rada i wskazówka dla wszystkich mężczyzn, którzy pragną ocalić przed pleśnią. Dewiza życiowa Rogoza jest „na nie jest za późno” — może rzeczywiście warto ją stosować.

Opr. ANNA NIŻYŃSKA

PRESSPOL

DZIWI ŚWIATA ROŚLIN



Ziele odpędzające smutek

Ogórecznik lekarski (*Borago officinalis*) należy do niedużej rodziny szorstkolistnych. Jest to częsty chwast polny, spotykany także na rumowiskach i pustkowiu. Ma mięsiste, szorstko owłosione liście o zapachu świeżych ogórków i okazałe, niebieskie kwiaty z pięcioma ciemnofioletowymi pylnikami.

W starożytnym Rzymie uważano, że kwiaty ogórecznika podnoszą ducha i wzmagają zapał wojenny, stąd zwyczaj mieszania odwarów z winem i podawania takiego napoju legionistom przed walką. Wino boraginowe pito, chętnie w średniowieczu, aby uwolnić się od smutku i melancholii. Do dziś na Syberii jada się świeże kwiaty posypane cukrem. Liście stanowią namiastkę ogórków i można dodawać je do sałatek, chłodników i zup. A jest to namiastka bardzo cenna, bo zawierająca sporo witaminy C, związki potasu i służy osłaniające żołądek. Sałatka z ogórecznika zapobiega procesom zapalnym w nerkach i przewodzie pokarmowym.

Medycyna ludowa wykorzystuje liście do okładów przy gorączce stawowym. (Leng.)

HOROSKOP & przymrużeniem oka

BARAN 21.03 20.04	Nowe, interesujące przedsięwzięcia w działaniach zawodowych i społecznych. Angażujesz się we wszystkie nowości, ale czy starczy sił i zapału, by wywiązać się z nadmiernych zobowiązań? W życiu prywatnym, drobny uśmiech losu. Przyjany Wodnik.
BYK 21.01 21.05	Lekka poprawa w interesach, pracy, przedsięwzięciach finansowych. W życiu osobistym ożywiają kontakty towarzyskie. W domu umiarkowanie zapowiedzianych gości. Propozycja interesującego wyjazdu. Sprawy serca nadal obojętne. Przechylny Rak.
BLIZNIĘTA 22.05 21.06	Nieprzewidziane okoliczności wprowadzą spory chaos w twoim życiu. Nie daj się ponieść emocjom. Najważniejszy jest zdrowy rozsądek i konsekwencja, by opanować sytuację. W końcu tygodnia dobre wiadomości i poprawa nastroju. W ty Baran.
RAK 22.06 22.07	W najbliższych dniach spadnie na Ciebie rwałych obowiązków zawodowych. Nie wpadaj w panikę, na pewno potrafisz uporać się z nimi. W domu przejściowe burze spowodowane brakiem czasu na sprawy dnia codziennego. Złoty Byk.
LEW 23.07 22.08	Zapowiada się tydzień interesujących działań zawodowych i to na wielu polach jednocześnie. Jeśli chcesz je udźwignąć sukcesem nie działaj zbyt impulsywnie i docenaj rady przyjaźniych ci osób. Sprawy osobiste pomyślne. Przychylne Waga.
PANNA 23.08 22.09	Bardzo dobry tydzień. W pracy twoje energiczne działania znajdują odzew wśród współpracowników. Wspólnymi siłami uda się pokonać przeszkody i zrealizować plany sprzed kilku miesięcy. Sprawy osobiste nad wyraz pomyślne. Łojalny Wodnik.
WAGA 23.09 22.10	Ostatnio zbyt wielką wagę przywiązujesz do swoich problemów, stąd pretensje ze strony bliskich. Okazuj im więcej ciepła, zrozumienia i zainteresowania ich sprawami. W pracy pomyślne będzie Baran. Przejściowe trudności finansowe.
SKORPION 23.10 22.11	Spłot wydarzeń spowoduje, że zostaniesz wciągnięty w czyjeś sprawy. Nie odmawiaj pomocy. Możesz zależeć od twojego taktu i bezstronności. W końcu tygodnia spotkanie w gronie miłych osób znacznie poprawi samopoczucie. Sympatyczne kontakty z Rakiem.
STRZELEC 23.11 21.12	Niezbyt życzliwa osoba zawodzi ci obietnicami, których nie ma zamiaru dotrzymać. Przedstawiając ci swoje racje, konsekwentnie doprowadz do rozwiązania sytuacji. W sprawach odnowienie starej, niezapomnianej sympatii. Przyjany drugi Strzelec.
KOZIOROZEC 22.12 20.01	Tydzień jakich wiele, zapracowany i zagoniony. Mimo zmęczenia i stałego braku czasu dopisze humor... i goście. Nieprzewidywalni, ale sympatyczni, wnoszący poprawę nastroju i odprężenie po całodziennych trudach. Lekka poprawa finansowa. Złoty Waga.
WODNIK 21.01 20.02	Gorący tydzień w pracy. Splątanie zadań, dodatkowe obowiązki. Natomiast w życiu osobistym raczej spokojnie i pogodnie. W domu mile odwiedzi cię i dobre wiadomości. Zdrowie w normie. Finanse korzystne. Przyjany znak Baran i Lew.
RYBY 21.02 20.03	W pracy tydzień na wysokich obrotach. Niezwykle, dodatkowe zajęcia trochę skomplikują twoje plany prywatne, ale osiągnięte wyniki przyniosą satysfakcję i słowa uznania. Sprawy osobiste pomyślne. Ożywienie kontaktów towarzyskich.

KRZYŻÓWKA

POZIOMO: 4) pradział w kopalni, 8) biorą od wewnątrz, 10) metal z feralną liczbą atomową, 12) modli się pod figurą, a diabła ma za skórą, 13) występuje w naszym miejskim teatrze, 16) instrument muzyczny, na którym każdy potrafi zagrać, 18) z paczki na głowę, 20) nie ma gdzie się ruszyć, 22) ma kompleks niższości przed drzewem, 24) nie wolno, 26) atak z góry, 27) mowa z Wami na początku, 28) deklamuje, 30) rzewny nastrój, 33) zrobienie kogoś kims, 36) wydelegowany na zjazd, 37) zagłada w oczy, 38) „Pił mleko”.

POJOWO: 1) coś przekrabiała, 2) gwałt serca podchodzi do gardła, 3) u panu — wolny, 4) papieskie imię, 5) dawa po rozłożeniu i odmiennym złożeniu, 6) bez Ciebie — jeden z Tobą — siedem, 7) rozmieszka, 9) wymaga obsługi, 11) mruka w samochodzie, 14) nieogolona siostra kaktusa, 15)

Jan Ptaszyn Wróblewski, 17) to, z czego mówca syple ławo i dużo, 19) szczyt zdenerwowania, 21) koński „biustonosz”, 23) orędownik słodkowodny, 25) kolor ustny, 29) drewno, 30) dzwignik, w którym skryła się rajska babka, 31) rączy koń, 32) plama na honorze, 34) karzeł wśród bawoli, 35) zapłata bynajmniej nie dozwolna.

LESZEK
Wśród czytelników, którzy w terminie 6-dniowym nadesłały trafne rozwiązania, rozlosujemy pięć nagród książkowych. Na kopertach prosimy zaznaczyć: „Krzyżówka z numeru 236”.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NUMERU 236

POZIOMO: wermut, nalwaniak, drabina, rozumowanie, temo, gnioł, kreda, krowa, nanos, krakka, tona, „Real”, zabawa, astma, arena, ramol,

Rossi, cieg, ciastkarnia, tatarak, lajkonik, troska. PIONOWO: intrygantka, licznik, animator, Wkra, mniemanie, toast, adwokat, antena, bieda, orka, waza, sklepikarka, klar, naktretwo, rano, zamiar, baletka, wersalka, magia, asonans, cytat, sala.

NAGRODY

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki zamieszczonej w „Gazecie” nr 224 z 25 września br. nagrody książkowe wylosowali: Izabela Skoczek z Wysokiego Mazowieckiego, Andrzej Gembka z Sokółki, Dariusz Stawicki z Suwałk oraz Edyta Murawska i Mirosław Kolendo — oboje z Białegostoku.

Zamiejscowym nagrody przesłamy pocztą. Mieszkańcy Białegostoku proszeni są o zgłoszenie się po odbiór książek do Działu Łączności z Czytelnikami redakcji (ul. Wesołowskiego 1), pok. nr 2.



PISAŁEM JUŻ o nowych cenach na polskie znaczki pocztowe. Na ogół ocenilem je pozytywnie, podkreślając szczególnie to, że wreszcie zerwano z rutynowym ich ustalaniem, nie zawsze licząc się z prawami podażi i popytu na rynku filatelistycznym.

Miałem jednak zastrzeżenie...

Jeszcze o cenach

nia co do terminu podwyżki i pewnego zaskoczenia zbieraczy. Czy były one jednak uzasadnione? Nie znalazłem wtedy powodów, jakie kierowały komisją ds. cen w Przedsiębiorstwie Filatelistycznym. Dziś je już znam.

Właśnie w „Filateliście” ukazał się wywiad z dyrektorem PF — mgr R. Dobskim. Tegoroczne przyspieszenie w podwyżce cen tłumaczy on tak: „Ceny zawsze były ustalane przez komisję w maju, trwały nabyły w uspieniu czy zamroźnieniu, co klóci się z właściwym pojmowaniem handlu, praw rynku z jego zmiennością. Tak jest na obcych rynkach — przecież Michel też zawsze

od maja ogłasza nowe ceny. Nasz Wydawca KAW winien się liczyć z tym przyspieszeniem. Wydrukowane Katalogi Popularnego oczekujemy najdalej w grudniu tego roku.”

Jeśli takie intencje kierowały dyrektorem i komisją ds. cen w PF — całkownie z nimi się solidaryzuję. Przecież takie postulaty na życzenie naszych filatelistów bardzo często przedkładałem na łamach „GW”. A już zapowiedź wydania nowego Katalogu Popularnego w grudniu br. spotka się z powszechnym aplauzem czytelników.

Pamiętamy przecież takie lata, kiedy trafiał on na rynek też pod koniec roku, ale... następnego!

GOŁĄB POKOJU

W Białymstoku mamy dwa traktujące zbiorów filatelistów, poświęcone gołębkom pokoju. Okazuje się, że na ten temat jest wiele znaczków i stempli. Najwięcej ich się ukazało z okazji Międzynarodowego Roku Pokoju. Ostatnio użyczył pocztowe w Elblągu i Wrocławiu stosowały interesujące datowniki okolicznościowe z gołębkiem pokoju.

PAŹDZIERNIK '87

Z okazji 70 rocznicy Wielkiego Października odbędą się wiele wystaw filatelistycznych m.in. w Łodzi, Rzeszowie, Bydgoszczy. Białostoccy zbieracze pokażą swoje zbiory również w Wilnie na bilaterywalnym wystawie „Październik — Wilno”.

100-LECIE CENDRASA

W tym roku miało 100 rocznica urodzin wybitnego powieściopisarza i poety francuskiego — Blaise Cendrarsa. Z tej okazji Poczta Francuska wydała znaczek z reprodukcją portretu pisarza, namalowanego przez Modiglianiego. Znaczek reprodukuje w „GW”.

MYŚLI PRZEKORNE

Mieć siebie w cuglach, to również innym nie puszczając.

Przetestuj siebie! — dopiero wtedy będziesz mógł ewentualnie powiedzieć, że ty to ty.

Zimni dranie zdystansują zawsze drani emocjonalnych.

Mina — taka czy inna — nie wystarczy. Trzeba mieć twarz.

Na rozkosze życia może nas nie starczyć. Na ból i smutek starczy na pewno.

ZBIGNIEW WAYDYK

Kobieta burmistrzem Dublina

Carmenita Hederman została wybrana Lord Mayorem stolicy Irlandii — Dublin. Jest to rzadki wypadek tak wysokiego stanowiska kobiety, przynajmniej na Zielonej Wyspie. Carmenita Hederman dotychczas była członkiem rady miejskiej. (Om)

Rekordowy przelot jaskółki

Jeden z rybaków australijskich znalazł obrączkową jaskółkę polarną. Ten gatunek spędza lato w pobliżu obu biegunów i należy do najdalej przelatujących ptaków w przyrodzie. Znalaziona jaskółka była zaobrazowana na wybrzeżu Morza Białego w ZSRR, odnotowana została na południu Afryki.

Obliczono przy pomocy komputera, że przeleciała Europę, Afrykę wzdłuż wybrzeża atlantyckiego oraz Ocean Indyjski. W sumie pokonała najdłuższą odnotowaną trasę — 2.250 km. (P)



NRD. W Berlinie trwają obchody 750-lecia miasta. NA ZDJĘCIU: niedźwiedź — symbol Berlina w czasie niedzielnego festynu na ulicach stolicy NRD.

CAF-ADN

Święto piwa

W ciągu 15 dni, w czasie których obchodzone w Monachum tradycyjne święto piwa, 6,5 mln gości wypilo 5.200.000 litrów tego napoju — poinformowali organizatorzy. W tym czasie policja zmuszona była interweniować 167 razy by przerwać bójki, bądź przywołać konsumentów do porządku. Pogotowie wyzywało 4.213 razy.